

**RAINER MARIA**

**RILKE**

MALTE

Rainer Maria Rilke

**Malte**

«Public Domain»

## **Rilke R.**

Malte / R. Rilke — «Public Domain»,

Malte to powieść Rainera Marii Rilkego o charakterze autobiograficznym. Główny bohater, mieszkający od kilku tygodni w Paryżu, obserwuje rzeczywistość i snuje refleksje o charakterze egzystencjalnym. Nadwrażliwy i niespokojny, przeżywający niemoc twórczą, ubogi, obserwuje niedolę ludzką, sięga pamięcią do lat dziecińczych i usilnie próbuje uchwycić, zatrzymać bezlitośnie uciekające życie. Rainer Maria Rilke to austriacki poeta i prozaik, którego lata twórczości przypadają na koniec XIX i początek XX wieku. Uchodzi za jednego z prekursorów egzystencjalizmu w literaturze. Do jego autorytetów literackich należeli Schiller i Tołstoj, Rilke natomiast inspirował m.in. Stanisława Lema. Powieść Malte została wydana po raz pierwszy w 1912 roku, po jej wydaniu Rilke doświadczył dwunastoletniego kryzysu twórczego.

© Rilke R.

© Public Domain

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

27

# Rainer Maria Rilke

## Malte

11 września, rue<sup>1</sup> Toullier.

Tak, a więc tu przychodzą ludzie, aby żyć, myślałbym raczej, że tu można umierać. Byłem poza domem. Widziałem szpitale. Widziałem człowieka, który zachwiał się i runął. Ludzie zebrali się wkoło niego, to oszczędziło mi reszty. Widziałem brzemienną kobietę. Sunęła ciężko wzdłuż wysokiego, ciepłego muru, którego czepiała się niekiedy, jakby chcąc się przekonać, czy jeszcze istnieje. Tak, mur stał jeszcze. A za nim? Poszukałem w planie: Maison d'Accouchement<sup>2</sup>. Zgoda. Pomogą jej rodzic – potrafią. Dalej rue Saint-Jacques, wielki dom z kopułą. Plan objaśniał: Val-de-Grâce, Hospital militaire<sup>3</sup>. Tego właściwie nie potrzebowałem wiedzieć, ale nie szkodzi. Uliczka zaczęła zewsząd cuchnąć. Pachniało, o ile można było rozróżnić, jodoformem<sup>4</sup>, tłuszczem od *pommes frites*<sup>5</sup>, strachem. Wszystkie miasta cuchną w lecie. Potem widziałem dziwnie bielmooki dom, w planie go nie było, ale nad drzwiami był dość jeszcze czytelny napis: *Asyle de nuit*<sup>6</sup>. Obok wejścia były ceny. Przeczytałem. Niedrogo.

A poza tym? Dziecko w stojącym wózku: grube, zielonawe, z wyraźną wysypką na czole. Krosty goiły się widocznie i nie bolały. Dziecko spało, miało otwarte usta, oddychało jodoformem, tłuszczem *pommes frites*, strachem. Na to nie ma rady. Cała rzecz w tym, żeby żyć. W tym cała rzecz.

Że też nie mogę odzwyczaić się od spania przy otwartym oknie. Elektryczne tramwaje pędzą z hukiem przez mój pokój. Automobile przejeżdżają po mnie. Drzwi jakieś zatrzasnęły się. Gdzieś leci z brzękiem szyba, słyszę, jak śmieją się jej wielkie odłamki, jak chichoczą małe. Potem nagły, głuchy, zamknięty łomot z drugiej strony, w środku domu. Ktoś idzie po schodach. Zbliża się, zbliża bezustannie. Już tu jest, już dawno jest, przechodzi. I znów ulica. Dziewczyna skrzeczy:

– *Ah, tais-toi, je ne veux plus*<sup>7</sup>.

Tramwaj nadbiega wzburzony do żywego, leci przez nich, przez wszystko. Ktoś woła. Ludzie pędzą, mijają się. Szczeka pies. Co za ulga: pies! Nad ranem nawet kogut pieje – i to jest błogość bez granic. Potem zasypiam nagle.

To są szmery. Ale jest tu coś, co jest straszniejsze: cisza. Myślę, że przy wielkich pożarach czasem następuje nagle taka chwila najwyższego napięcia, strugi wody opadają, strażacy przestają się wspinać, nikt się nie rusza. Bez szmeru wysuwa się naprzód czarny gzyms w górze – i wielka ściana, za którą strzela ogień, pochyla się bez szmeru. Wszyscy stoją i czekają z podniesionymi ramionami, z twarzą namarszczoną na oczy, czekają strasznego ciosu. Taka jest tutaj cisza.

Uczę się patrzeć. Nie wiem, dlaczego wszystko głębiej wchodzi we mnie, a nie zatrzymuje się w tym miejscu, gdzie się dawniej zawsze kończyło. Posiadam wnętrze, o którym nie wiedziałem. Wszystko tam teraz wchodzi. Nie wiem, co się tam dzieje.

Napisałem dzisiaj list, przy tym uderzyła mnie nagła świadomość, że jestem tu dopiero od trzech tygodni. Trzy tygodnie gdzieś indziej, na wsi na przykład, to mogło być jak dzień, tu są to lata. Nie napiszę też już żadnego listu. Po co mam komuś mówić, że się zmieniam? Jeżeli się zmieniam, to

<sup>1</sup> rue (fr.) – ulica. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> Maison d'Accouchement (fr.) – dom porodów. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> Hospital militaire (fr.) – szpital wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> jodoform – żółta, krystaliczna substancja, jeden z pierwszych środków antyseptycznych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> pommes frites (fr.) – frytki. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> Asyle de nuit (fr.) – schronienie nocne. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> Ah, tais-toi, je ne veux plus (fr.) – Ach, uspokój się, już nie chcę. [przypis edytorski]

przecie i tak nie pozostanę tym, kim byłem, a skoro jestem czymś innym niż dotąd, wtedy rzecz jasna, że nie mam znajomych. A do ludzi obcych, do ludzi, którzy mnie nie znają, pod żadnym pozorem pisywać nie mogę.

Czy powiedziałem to już? Uczę się patrzeć. Tak, zaczynam. Trudno mi jeszcze. Ale chcę czas swój wyzyskać.

Że też na przykład nigdy nie uświadomiłem sobie, ile istnieje twarzy. Jest moc ludzi, ale jeszcze znacznie więcej twarzy, bo każdy ma kilka. Są ludzie, co jedną twarz noszą latami, naturalnie twarz się zużywa, brudzi, łamie w bruzdach, rozłazi się jak rękawiczki noszone w podróży. To są ludzie oszczędni, prości; nie zmieniają twarzy, nawet jej nie każą czyścić. Twierdzą, że jest dość dobra, a kto im dowiedzie, że jest inaczej? Pytanie, oczywiście, skoro mają kilka twarzy, co czynią z pozostałymi? Przechowują je. Ich dzieci mają je nosić. Ale zdarza się także, iż psy chadzają w nich po dworze. Dlaczegożby nie? Twarz to twarz.

Inni ludzie niesamowicie szybko nakładają twarze, jedną po drugiej i zużywają je. Wydaje im się zrazu, że zapas im starczy na zawsze, ale zaledwie dochodzą do czterdziestki: oto już ostatnia. Jest w tym oczywiście pewien tragizm. Nie przywykli do oszczędzania twarzy, ostatnia po tygodniu jest zużyta, dziurawa, w wielu miejscach cienka jak papier – i oto potem stopniowo wychodzi na wierzch podkład, ta nie-twarz i z nią się obnoszą.

Ale ta kobieta, ta kobieta: zupełnie wtoczyła się w siebie, całym ciężarem zapadła twarzą w dłoń. Było to na rogu rue Notre-Dame-des-Champs. Zacząłem stąpać cicho, skoro ją ujrzałem. Kiedy ubodzy zamyślają się, nie wolno im przeszkadzać. Może jednak wpadnie im na myśl?

Ulica była zbyt pusta, jej pustka nudziła się i krok wyciągała mi spod nóg, i klekotała nim wokoło, tu i tam, jak drewnianym chodakiem. Kobieta w nagłym przestachu poderwała się zbyt ostro, zbyt prędko – i twarz pozostała w rozwartych dłoniach. Ujrzałem tam tę twarz, jej pustą formę, z nieopisanym wysiłkiem przykułem się do tych dłoni, aby nie zobaczyć tego, co się od nich oderwało. Groza mnie zdjęła na widok twarzy od środka, ale jeszcze więcej bałem się nagiej rany, tej głowy bez twarzy.

Boję się. Na strach trzeba coś zaradzić, skoro się go ma. Byłoby to brzydko tu zachorować, a gdyby ktoś wpadł na pomysł przewiezienia mnie do Hôtel-Dieu, umarłbym tam z pewnością. Ten hotel jest przyjemnym hotelem, ma niesłychane powodzenie. Trudno obserwować fasadę katedry paryskiej bez niebezpieczeństwa wpadnięcia pod jeden z tych licznych pojazdów, które przez otwarty plac muszą tam wjeżdżać z najwyższą szybkością. Są więc małe omnibusy, co bezustannie dzwonią, a sam książę żegański musiałby zatrzymać swoją karetę, jeśliby taki umierający nieborak uparł się jechać prostą drogą do Hotelu Pana Boga. Umierający są uparci, a cały Paryż staje w miejscu, skoro Madame Legrand, *brocanteuse*<sup>8</sup> z rue des Martyrs, zajeżdża na pewien plac w Cité. Zauważyć należy, że te piekielnie małe wózki posiadają wysoce interesujące szyby mleczne, poza którymi wyobrazić sobie można najwspanialsze agonie; na to wystarczy fantazja konsjerżki<sup>9</sup>. Kto posiada wyższą jeszcze imaginację i skieruje ją w inne strony, dla tego domysły nie mają granic. Ale widywałem tam i otwarte dorożki, płatne od czasu, dorożki z podniesioną budą, jadące podług zwykłej taksy<sup>10</sup>: dwa franki od godziny umierania.

Znakomity ów hotel jest bardzo stary, już za czasów króla Klodoweusza umierano tu w paru łózkach. Teraz umiera się w pięćset pięćdziesięciu dziewięciu. Naturalnie fabrycznie. Przy tak znacznej produkcji poszczególna śmierć nie jest wykonana szczególnie dobrze, ale nie o to przecież

---

<sup>8</sup> *brocanteuse* (fr.) – handlarzka starzyzną. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *konsjerżka* (z fr.) – dozorczyńca. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *taksa* – stawka. [przypis edytorski]

chodzi. O masę chodzi. Któż dzisiaj da coś jeszcze za dobrze wykonaną śmierć? Nikt. Nawet bogacze, którzy by mogli przecież pozwolić sobie na szczegółowe umieranie, stają się niedbali i obojętni; życzenie posiadania własnej śmierci spotyka się coraz rzadziej. Jeszcze chwila, a stanie się równie rzadkim jak własne życie. Boże, to wszystko już jest. Przychodzi się, znajduje życie gotowe, że tylko się w nie ubrać. Chce się odejść albo jest się do tego zmuszonym: no, bez fatygi:

– *Voilà votre mort, monsieur*<sup>11</sup>.

Umiera się, jak się zdarzy; umiera się śmiercią, jaka należy do tej choroby, którą się ma (bo odkąd znane są wszystkie choroby, wiadomo także, iż rozmaite śmiertelne zakończenia należą do chorób, a nie do ludzi; pacjent poniekąd nie ma nic do roboty).

W lecznicach, kędy<sup>12</sup> umieranie jest tak chętne i tak pełne wdzięczności dla lekarzy i sióstr, umiera się jedną z śmierci zaangażowanych w zakładzie; jest to mile widziane. Umierając jednak w domu, wybiera się oczywiście oną uprzejmą śmierć wyższych sfer, od której niejako już się zaczyna pogrzeb pierwszej klasy, a z nim cały szereg jego przepięknych obrządków. I oto stoi tłum ubogich przed takim domem i patrzy do syta. Ich śmierć jest naturalnie banalna, bez żadnych względów. Cieszą się, gdy znajdą śmierć dostosowaną jako tako. Za obszerna może być: trochę na wyrost. Tylko jeśli się na piersiach nie dopina albo dławi, wtenczas jest bieda.

Kiedy myślę o naszym domu, gdzie teraz nie ma już nikogo, wtedy sędzę, że wówczas musiało być inaczej. Dawniej wiedzano (albo może domyślano się), że śmierć człowiek nosi w sobie jak owoc pestkę. Dzieci miały w sobie małą, a dorośli dużą. Kobiety miały ją w łonie, a mężczyźni w piersi. Dość, że się ją miało – a to dawało człowiekowi osobliwą, dostojną i cichą jakąś dumę.

Po moim dziadku jeszcze, starym szambelanie Brigge, znać było, że nosił śmierć w sobie. I jaka to ona była: przez dwa miesiące, a tak głośna, że ją słyszać było aż na folwarku.

Długi, stary dwór za ciasny był na tę śmierć, zdawało się, że trzeba dobudowywać skrzydła, gdyż ciało szambelana stawało się coraz większe i chciał, aby go ustawicznie przenosić do innej komnaty, i zapalał się straszliwym gniewem, skoro dzień się nie kończył, a już nie było pokoju, w którym jeszcze nie leżał.

Potem cały ów korowód sług, niewiast i psów, które stale miał koło siebie, ruszał na górę po schodach do komnaty śmiertelnej jego nieodżałowanej nieboszczki matki. A ta komnata, opuszczona przez nią dwadzieścia trzy lata temu, zachowana była w nietkniętym stanie, a nigdy nikt nie miał do niej wstępu. Teraz wdarła się tam cała ta zgraja. Podniesiono rolety i pyzate światło letniego popołudnia jeło<sup>13</sup> macać wszystkie te płóche<sup>14</sup>, wystraszone przedmioty i obracało się niezdarnie w potłuczonych zwierciadłach. A ludzie nie inaczej się zachowywali. Więc były służebne, którym z ciekawości latały palce, chłopcy kredensowi z wybałuszonymi oczyma, starzy lokaje, którzy obchodząc dokoła usiłowali przypomnieć sobie wszystko, co im naopowiadano o tym zamkniętym pokoju, do którego wtargnęli oto szczęśliwie.

Nade wszystko jednak pobylem w komnacie, gdzie pachniały wszystkie rzeczy, podniecone były psy. Wielkie, szczupłe charty rosyjskie biegały zaaferowane za wysokimi fotelami i w poprzek komnaty długim, tanecznym krokiem, kołyszącym się ruchem; stawały na zadnich nogach jak herbowe gryfy i wąskie łapy opierając na biało-złotym parapecie okna, spozierały spiczastym, skupionym pyskiem i podniesionym czołem w prawo i w lewo na dziedziniec. Małe, jak rękawiczka żółte jamniki z wyrazem spokoju, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku, siedziały na szerokim jedwabnym fotelu pod oknem, a nastroszony, mrukliwy wyżeł tarł grzbiet o pozłocistą nogę stołu, na którego płycie malowanej drżały sewrskie filizanki.

<sup>11</sup> *Voilà votre mort, monsieur* (fr.) – oto pańska śmierć, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *jeło* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *płochy* (daw.) – lekkomyślny, niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

Tak, były to czasy okropne dla tych nieprzytomnych, zaspanych przedmiotów. Zdarzało się, że z książek, niezgrabnie otwartych porywczą ręką, wypadły chwiejnie zaschłe płatki róży i podeptano je. Ktoś chwycił małe słabowite cacka i natychmiast stłuczone odkładał pośpiesznie, niejeden gracik ukryty wepchnięto za kotarę lub zgoła rzucono za złotą kratę kominka. A od czasu do czasu coś z brzękiem stłumionym padało na dywan, jasno padało na twardą posadzkę, bo rzeczy te, nader rozpieszczone, nie znosiły upadku.

I gdyby ktoś wpadł na pomysł zapytania, jaka jest przyczyna tego wszystkiego i co na ów trwożnie strzeżony pokój sprowadziło pełnię zagłady – odpowiedź byłaby tylko jedna: śmierć.

Śmierć szambelana Krzysztofa Detlefa Brigge na Ulsgaardzie. Ten bowiem, ogromny, przelewający się z granatowego munduru, leżał pośrodku posadzki i nie ruszał się. W obcym, wielkim, nikomu już nie znanym obliczu oczy były zamknięte: nie widział, co się działo. Próbowano zrazu kłaść go na łożu, lecz on się bronił, bo łóżka nienawidził od czasu onych pierwszych nocy, kiedy choroba jego urosła. Zresztą łóżko na górze okazało się zbyt małe, więc nic nie pozostało innego, jak złożyć go tak na kobiercu; na dół bowiem wracać nie chciał.

Leżał więc tak i można było mniemać, że umarł. Kiedy powoli zaczęło zmierzchać, psy jeden po drugim wysunęły się przez szparę drzwi, tylko nastroszony wyżeł z mrukliwą twarzą siedział przy swoim panu, a szeroka, włochata jego łapa spoczęła na wielkiej, szarej ręce Krzysztofa Detlefa. Także służba stała teraz za drzwiami w białym korytarzu, jaśniejszym niż pokój; ci wszakże, którzy jeszcze pozostali wewnątrz, spozierali czasem na tę wielką, czerniejącą masę w pośrodku, z gorącym życzeniem, aby to nie było już niczym, tylko wielkim mundurem nad zepsutą rzeczą.

Ale to jeszcze było czymś. Było głosem, głosem, którego przed siedmiu tygodniami nie znał nikt: nie był to bowiem głos szambelana. Nie Krzysztof Detlef był właścicielem tego głosu, lecz śmierć Krzysztofa Detlefa.

Tak więc śmierć Krzysztofa Detlefa już od wielu, wielu dni żyła w Ulsgaardzie i gadała z wszystkimi, i żądała. Żądała, aby ją obnoszono, żądała błękitnej komnaty, żądała saloniku, żądała wielkiej sali. Żądała psów, żądała śmiechu, rozmów, zabawy i ciszy, i wszystkiego na raz. Żądała widoku przyjaciół, niewiast i zmarłych, i żądała własnego skonu: żądała. Żądała z wielkim krzykiem.

Bo skoro noc przyszła i ci spośród przemęczonych sług, co nie byli wyznaczeni do czuwania, próbowali zasnąć, wtenczas śmierć Krzysztofa Detlefa krzyczała, krzyczała i stękała, wyła tak długo i nieprzerwanie, że psy zrazu wyjące do wtóru milkły i nie śmiały się położyć, i stojąc na długich, smukłych, drżących nogach, bały się.

A ludzie we wsi, co słyszeli jej ryk poprzez daleką, srebrną, duńską noc letnią, wstawali jak w czas burzy i zasiadali bez słowa wkoło lampy, póki nie ustało. A kobiety bliskie rozwiązania układano w najdalszej izbie i pod najcięższe pierzyny; ale one słyszały, słyszały tak, jakby to było w ich własnym żywocie<sup>15</sup>, i błagały, aby im także pozwolono wstać, i przychodziły białe i szerokie, i ze swymi zamazanymi twarzami przysiadły się do drugich. A krowy, które cielily się w ów czas, były bezradne i zamknięte, a którejs wyrwano z brzucha martwy płód razem z jelitami, kiedy nie chciał wyjść sam. I wszyscy pracę powszednią wykonywali źle i zapominali zwieźć siano, ponieważ za dnia lękali się nocy, a częstym czuwaniem i pełnymi strachu przebudzeniami tak byli przemęczeni, że nic sobie przypomnieć nie mogli. A kiedy w niedzielę szli do białego, pogodnego kościoła, modlili się, aby już nie było pana na Ulsgaardzie: ten bowiem był strasznym panem. A wszystko to, co myśleli i o co się modlili, ksiądz mówił głośno z ambony, bo i on już nie miał żadnych nocy i Boga pojąć nie mógł. I to samo mówił dzwon, co doczekał się potężnego rywala, grzmiącego całą noc, na którego rady nie było, nawet gdy dzwon rozdzwonił się pełnym spiżem. Tak wszyscy to mówili, a był jeden wśród młodzieńców, który sen miał, że poszedł do pałacu i dziedzica zabił widłami od gnoju – i wzburzenie było tak wielkie, tak ostateczne, tak przedrażnione, że słuchali wszyscy, kiedy opowiadał swój sen, i nieświadomie spozierali nań, czy aby był zdolny do takiego czynu.

<sup>15</sup> *żywot* (daw.) – brzuch, łono. [przypis edytorski]

Tak czuła i mówiła cała okolica, która kilka jeszcze tygodni temu miała dla szambelana miłującą litość. Ale chociaż tak mówiono, nie zmieniało się nic. Śmierć Krzysztofa Detlefa, mieszkająca w pałacu Ulsgaard, nie pozwalała się naglić. Przyszła na dziesięć tygodni i tak też długo pozostała. A w tym czasie więcej była panem, niż panem był kiedykolwiek Krzysztof Detlef Brigge, była jak król, którego nazywają Groźnym później i zawsze.

Nie była to śmierć z pierwszej lepszej puchliny, to była zła, książęca śmierć, którą szambelan przez całe życie nosił w sobie i z siebie żywił. Cały nadmiar dumy, woli i magnackiej siły, jakiego w spokojnych nawet dniach szambelan zużyć nie mógł, przeszedł na tę śmierć, na tę śmierć, która teraz siedziała w Ulsgaardzie i trwoniała.

Jakim wzrokiem spojrzalby szambelan Brigge na kogoś, kto by odeń zażądał umierania inną śmiercią niż ta właśnie! Umarł ciężką swoją śmiercią.

A gdy myślę o tych innych, których widziałem lub o których słyszałem: zawsze to samo. Wszyscy oni mieli własną śmierć. Ci mężowie, którzy ją nosili w zbroi, wewnątrz, jak więźnia, te kobiety, co stawały się stare i małe i potem na olbrzymim łożu, niby na otwartej scenie, wobec całej rodziny, służby i psów, dyskretnie i po magnacku oddawały ducha. I dzieci, nawet najmniejsze, miały nie jakąkolwiek dziecięcą śmierć – lecz skupiały się w sobie i umierały tym, czym już były, i tym, co byłoby z nich wyrosło.

A jaką to nadawało piękność melancholijną kobietom, kiedy w ciąży były i stały, a w ich wielkim łonie, na którym mimowolnie spoczęły wąskie ręce, były dwa płody: jedno dziecko i jedna śmierć. Czy ten gęsty, prawie pożywny uśmiech w ich zupełnie wyprątniętej twarzy nie pochodził z przypuszczenia, że tamte rosną, jedno i drugie?

Zaradziłem coś na strach. Siedziałem całą noc i pisałem, a teraz jestem zmęczony jak po dalekim marszu po polach Ulsgaardu. Ciężko jest jednak pomyśleć, że tego wszystkiego już nie ma, że obcy ludzie mieszkają w starym długim dworze. Może być, że w białej komnacie na górze, pod szczytem, teraz śpią dziewczki, swój ciężki sen wilgotny śpią od wieczora do rana.

I nie ma się nikogo i nic, i jeździ się po świecie z walizką i z pudłem książek, i właściwie bez ciekawości. Co to właściwie za życie: bez domu, bez odziedziczonych rzeczy, bez psów. Gdyby się miało przynajmniej wspomnienia. Ale kto je ma? Gdyby dzieciństwo było, ale jest jak pogrzebane. Może trzeba być starym, aby osiągnąć tego wszystkiego? Dobrze to chyba być starym.

Dzisiaj był piękny jesienny ranek. Szedłem przez Tuilerie<sup>16</sup>. Wszystko, co było na wschód, pod słońce, raziło. Strona oświetlona była obwieszona mgłą jak jasnoszarą zasłoną. Szare w szarym wygrzewały się w słońcu posągi w nie odsłoniętych jeszcze ogrodach. Pojedyncze kwiaty wstawiały w podłużnych klombach i mówiły: *Rouge*<sup>17</sup>! głosem wystraszonym. Potem nadszedł bardzo wysoki, szczupły człowiek zza rogu od strony Champs-Élysées; niósł szczudło, ale już nie wsunięte pod pachę – trzymał je przed sobą, lekko, a niekiedy uderzał nim o ziemię silnie i głośno, jak laską herolda. Nie mógł powstrzymać uśmiechu radości i uśmiechał się wskroś wszystkiego ku słońcu, ku kwiatom. Krok miał nieśmiały, jak krok dziecka, ale lekki niezwykle, pełen wspomnień dawnego chodzenia.

Czego to taki mały księżyc nie potrafi! Są dni, kiedy wszystko wokół człowieka jest światłe, lekkie, zaledwie napomknięte w jasnym świetle, a jednak wyraźne. Najbliższe rzeczy mają już tony dali, ktoś je zabrał i tylko ukazał, nie podał; a co odnosi się do dali: rzeka, mosty, długie ulice i place, i wszystko, co rozrzutnością oddycha, to ustawiło tę dal za sobą; jest na niej malowane jak na jedwabiu. Nie sposób wyrazić, czym może być wtedy jasnozielony wóz na Pont-Neuf albo cośkolwiek

---

<sup>16</sup> *Tuileries* – dzielnica Paryża między Luwrem a Sekwaną, znana z ogrodów. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *rouge* (fr.) – czerwony. [przypis edytorski]

czerwonego, co nie da się powstrzymać, albo chociażby tylko afisz na ognistym murze perłowszarej grupy domów. Wszystko jest uproszczone, sprowadzone do kilku trafnych, jasnych płaszczyzn jak twarz na obrazie Maneta<sup>18</sup>. I nic nie jest marne ani zbędne. Antykwariusze nad kanałem otwierają swoje witryny – i świeża lub spłowiała żółtość ksiązek, liliowy brąz tomów, większa zieleń jakiejś teki: wszystko jest w porządku, jest ważne, ma udział i tworzy pełnię, w której nie brak nic.

Na dole jest takie zestawienie: kobieta pcha mały wózek; na przedzie katarynka ustawiona wzdłuż. Za nią w poprzek dziecięcy koszyk, w którym maleństwo stoi silnie na nogach, rozpromienione, w czepku, i nie pozwala się posadzić. Od czasu do czasu kobieta kręci katarynkę. Maleństwo wtedy natychmiast podnosi się znowu tupiąc w swym koszyku, a dziewczynka w zielonej odświętnej sukience tańczy i bije w tamburino ku górnym oknom.

Sądzę, że powinienem zacząć jakąś pracę, teraz, kiedy uczę się patrzeć. Mam dwadzieścia osiem lat i właściwie nic się nie stało. Powtórzmy: napisałem o Carpacciu<sup>19</sup> studium, które jest złe, dramat, który się zowie *Małżeństwo* i coś fałszywego usiłuje dowieść dwuznacznymi środkami, i poezje. Ach, te poezje to takie nic, kiedy się je pisze za młodu. Powinno się z tym czekać i gromadzić sens i słodycz przez całe jedno życie, i to długie o ile możliwości, a potem na samym końcu, może potem mogłoby się napisać dziesięć dobrych wierszy.

Poezje nie są bowiem, jak ludzie sądzą, uczuciami (uczucia miewa się dość wcześnie) – są doświadczeniami. Gwoli jednej strofy trzeba wiele miast zobaczyć, ludzi i rzeczy, trzeba znać zwierzęta, trzeba czuć, jak latają ptaki, i znać gest, z jakim małe kwiaty otwierają się o świcie. Trzeba umieć myśleć wstecz o drogach w nieznanym stronach, o niespodzianych spotkaniach i rozstaniach, których nadejście widziało się dawno – o dniach dzieciństwa jeszcze nie wyjaśnionych, o rodzicach, których się martwić musiało, skoro dziecku radość nieśli, a dziecko jej nie rozumiało (była to radość dla kogoś innego), o dziecięcych chorobach, co poczynają się tak dziwnie w tylu ciężkich i głębokich przemianach, o dniach w cichych, bezszmernych izbach i o rankach nad morzem, o morzu w ogóle, o morzach, o nocach podróżniczych, co w dal szumiały hen w górze i z wszystkimi gnały gwiazdami – a to jeszcze nie dosyć, jeżeli komuś wolno myśleć o tym wszystkim! Trzeba mieć wspomnienia wielu nocy miłosnych, z których żadna nie była równa drugiej, krzyku rodzających i wspomnienia lekkich, białych, śpiących położnic, które się zamykają. Ale i przy konających trzeba było spędzać czas, przy zmarłych trzeba było siedzieć w izbie z otwartym oknem i miarowymi szmerami. A nie wystarcza i to jeszcze, że się ma wspomnienia. Trzeba je umieć zapomnieć, jeśli jest ich wiele, i trzeba mieć tę wielką cierpliwość czekania, póki nie wrócą. Bo wspomnienia same to jeszcze nie to. Dopiero kiedy krwią się staną w nas, spojrzeniem i gestem, czymś bezimiennym i nie dającym się odróżnić od nas samych, dopiero wtenczas zdarzyć się może, iż w jakiejś bardzo odosobnionej godzinie pierwsze słowo poezji wstanie pośrodku nich i z nich wyjdzie.

Wszystkie natomiast moje poezje w inny sposób powstały i dlatego nie są żadnymi.

A kiedy pisałem dramat, jakże jam wtedy błądził! Czy naśladowcą byłem lub błaznem, że potrzeba mi było kogoś Trzeciego, by opowiadać o losie dwojga ludzi, którzy sobie nawzajem utrudniali życie? Jak łatwo wpadłem w pułapkę. A powinienem był przecież wiedzieć, że ten Trzeci, który idzie przez wszystkie życia i literatury – że ten upiór jakiegoś Trzeciego, który nie istniał nigdy, nie ma znaczenia, że go trzeba negocjować. Należy on do pretekstów natury, która wiecznie usiłuje odwieść uwagę ludzi od swych najgłębszych tajemnic. On jest parawanem, za którym odgrywa się dramat. On jest hałasem u wejścia do bezgłośnej ciszy istotnego konfliktu. Można by sądzić, że wszystkim było dotąd za trudno mówić o tych dwojgu, o których chodzi; ów Trzeci, właśnie

<sup>18</sup> Manet, Edouard (1832–1883) – malarz francuski, powiązany z ruchem impresjonistów. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> Carpaccio, Vittore (1465–1526) – malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

ponieważ jest tak nierzeczywisty, jest łatwą stroną zadania, umieli go wszyscy. Na samym początku ich dramatów czuje się niecierpliwość dojścia do tego Trzeciego, trudno się go doczekać. Skoro on się zjawia, wszystko jest dobrze. Lecz jakaż nuda, kiedy on się spóźnia, nic się dzieć nie może bez niego, wszystko staje, tamuje się, czeka. A nużby się na tym zatrzymaniu i zastoju skończyło? A nuż, panie dramaturgu, i ty, publiczności, która znasz życie, a nuż on zaginie bez wieści, ten ulubiony *viveur*<sup>20</sup> albo ten zarozumiały młodzieniec, co każde małżeństwo otwiera jak wytrych? A nużby jego, na przykład, diabli wzięli? Przypuśćmy. Czuje się nagle sztuczną pustkę teatrów, zamurówuje się je, jak niebezpieczne dziury, tylko mole z krawędzi łóż tłuką się w beznadziejnej próżni. Dla autorów dramatycznych skończyło się używanie w wytwornych willach. Całe publiczne węszyćielstwo szuka dla nich w odległych krajach tego jednego niezbędnego, który był akcją samą.

A tymczasem oni mieszkają wśród ludzi, nie ci Trzeci, ale ci dwoje, o których można by mówić tak nieskończenie wiele, o których jeszcze nigdy nic nie powiedziano, mimo że cierpią i działają, i rady sobie dać nie mogą.

Śmieszne to. Siedzę tu w moim pokoiku, ja, Brigge, który skończył dwadzieścia osiem lat i o którym nikt nic nie wie. Siedzę tu i jestem niczym. A jednak – to nic zaczyna myśleć i myśli, na wyżynie piątego piętra, pewnego szarego paryskiego popołudnia taką myśl:

Czy to być może – myśli – że się jeszcze nic rzeczywistego ani ważnego nie widziało, ani poznało, ani rzekło? Czy to być może, iż przez tysiące lat miało się czas patrzeć, myśleć i spisywać – i że się te tysiące lat spędziło jak pauzę szkolną, w której zjada się kromkę chleba i jabłko?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż mimo wynalazków i postępu, mimo kultury, religii i mądrości świata pozostało się na powierzchni życia? Czy być może, iż tę nawet powierzchnię, która ostatecznie jednak byłaby czymś, pokryło się niesłychanie nudnym materiałem, skutkiem czego wygląda jak salonowe meble podczas letnich wakacji?

Tak, to może być.

Czy to może być, że całą historię świata zrozumiano fałszywie? Czy to być może, iż przeszłość jest fałszywa, gdyż zawsze mówiono o jej masach tak, jak gdyby opowiadano o zbiegowisku licznych ludzi, zamiast mówić o tym jednym, wkoło którego stali, ponieważ był obcy i umarł?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż mniemano, że trzeba dogonić to, co się wydarzyło, zanim się przyszło na świat? Czy to może być, że trzeba było przypominać każdemu, iż powstał z wszystkich poprzednich ludzi, że on to wie i dlatego nic nie powinien sobie pozwolić wmówić tym, którzy wiedzą co innego?

Tak, to może być.

Czy to może być, że wszyscy ci ludzie znają najdokładniej przeszłość, której nie było nigdy? Czy może być, że wszystkie rzeczywistości nie są niczym dla nich? Że życie ich upływa niezwiązane z niczym, jak zegar w pustym pokoju?

Tak, to może być.

Czy to może być, że się nic nie wie o tych dziewczynach, które przecie żyją? Że mówi się: „kobiety”, „dzieci”, „chłopcy”, a nie przeczuwa się (nie ma się pojęcia mimo całego wykształcenia), że słowa te już dawno nie mają liczby mnogiej, a tylko niezliczone liczby pojedyncze?

Tak, to może być.

Czy to być może, iż są ludzie mówiący „Bóg” i myślący, że to jest coś wspólnego? – I spójrz na dwoje dzieci szkolnych: kupi sobie jeden scyzoryk, a sąsiad kupi sobie taki sam tego samego dnia. I pokazują sobie po tygodniu te dwa scyzoryki, i widać, że już bardzo mało są podobne do siebie – tak odmiennie rozwinęły się w odmiennych rękach. (Tak – powie na to jedna z matek – bo wy zawsze wszystko musicie od razu zużyć.) Więc tak: czy możliwe jest przypuszczenie, że można mieć Boga, nie zużywając Go?

<sup>20</sup> *viveur* (fr.) – człowiek korzystający z życia. [przypis edytorski]

Tak, jest możliwe.

Jeżeli wszakże wszystko to jest możliwe, jeżeli ma choć szczyptę możliwości – to wtedy, na miłość boską, musi się coś stać!

Pierwszy z brzegu, ten, który miał tę myśl niepokojącą, musi zacząć robić coś z tych zaniedbanych rzeczy; choćby tylko był kimkolwiek, bynajmniej nie najodpowiedniejszym: po prostu innego nie ma. Ten młody, byle jaki cudzoziemiec Brigge będzie musiał usiąść na piątym piętrze i pisać dzień i noc: tak, będzie musiał pisać, na tym się skończy.

Dwanaście chyba lat miałem w tych czasach albo trzynaście co najwyżej. Ojciec zabrał mnie z sobą do Urne. Nie wiem, co go skłoniło do odwiedzenia teścia. Ci dwaj ludzie nie widzieli się od wielu lat, od czasu śmierci mej matki, a nawet mój ojciec jeszcze nigdy nie był w starym zamku, w którym hrabia Brahe zamknął się dopiero w podeszłych latach. Osobliwego tego domu nigdy później nie ujrzałem; po śmierci mego dziadka przeszedł w obce ręce. To, co odnajduję w dziecięco ukształtowanym wspomnieniu, nie jest budynkiem; jest we mnie zupełnie pokawałkowane: tu komnata, ówdzie komnata, a tam kawał korytarza, który nie łączy dwu tych komnat, lecz zachowany jest sam w sobie jako fragment. W ten sposób wszystko we mnie jest rozsypane – pokoje, schody, opuszczające się z tyłu ceregielami, i inne wąskie, kręcone schodki, a w ich ciemnicy szło się tak, jak krew idzie w żyłach; izdebki na wieży, wysoko zawieszony balkony, niespodziane altany, na które wpadało się ni stąd, ni zowąd z jakichś małych drzwi; wszystko to jest jeszcze we mnie i nigdy nie przestanie być. Obraz tego domu runął niejako we mnie z nieskończonej wyżyny i na dnie moim rozstrzaskał się.

Zupełnie utrzymana w moim sercu jest, jak się zdaje, tylko ta sala, w której zbieraliśmy się na obiad, codziennie o siódmej wieczorem. Nigdy tej komnaty nie widziałem za dnia, nie przypominam sobie nawet, czy miała okna i na co wychodziły; kiedy schodziła się rodzina, zawsze już świece jarzyły się w ciężkich kandelabrach – i po kilku minutach zapominało się o czasie i o wszystkim, co się widziało na dworze. Wysoka i, jak się domyślam, sklepiona ta przestrzeń była mocniejsza nad wszystko; ciemniejącym stropem i nigdy do cna nie wyjaśnionymi kątami wysysała z człowieka wszystkie obrazy, nie dając w zamian nic określonego. Siedziałeś tam nieobecny duchem; bez żadnej woli, bez opamiętania, bez chęci, bez sprzeciwu. Byłeś jak puste miejsce.

Przypominam sobie, że ten nieznośny nastrój przyprawiał mnie zrazu niemal o mdłości, o coś w rodzaju morskiej choroby, którą przewyciężyć umiałem tylko w ten sposób, że wyciągałem nogę, aż czubkiem trąciłem kolano ojca siedzącego naprzeciw mnie. Później dopiero uderzyło mnie to, że ojciec dziwne to zachowanie zdawał się rozumieć, czy przynajmniej znosić, choć był między nami stosunek raczej chłodny, nieusprawiedliwiający podobnej poufałości. Tymczasem właśnie owo lekkie dotknięcie dawało mi siłę przetrwania długich obiadów. I po kilku tygodniach kurczowych zmagani tak dalece przywykłem, dzięki nieograniczonej wprost, dziecięcej zdolności przystosowania się do niesamowitości tych schadzek, że już bez wysiłku potrafiłem siedzieć po dwie godziny przy stole; teraz mijały one dość nawet szybko, bo zajmowała mnie obserwacja obecnych.

Dziadek mój nazywał to „rodziną”, a słyszałem nawet u drugich to zupełnie dowolne wyrażenie. Chociaż bowiem czworo tych ludzi spowinowaconych było w odległym stopniu, nic a nic ich jednak nie łączyło. Stryj, siedzący obok mnie, był to człowiek stary, o twardej, ogorzałej<sup>21</sup> twarzy z kilku czarnymi plamami – pozostałością, jak się dowiedziałem, od eksplozji ładunku prochowego; mruk ten i malkontent podał się jako major do dymisji – i teraz w nie znanej mi izbie pałacu robił doświadczenia alchemiczne, a prócz tego, według opowiadań służby, utrzymywał stosunki z jakimś więzieniem, skąd mu raz albo dwa razy do roku przysyłało zwłoki. Zamykał się z nimi na całe dni i noce, krajał i preparował w tajemniczy sposób, zabezpieczając od rozkładu.

---

<sup>21</sup> ogorzaty – o cerze ściemniałej wskutek częstego przebywania na słońcu. [przypis edytorski]

Naprzeciwko siadywała przy stole panna Matylda Brahe. Osoba w nieokreślonym wieku – daleka kuzynka mojej matki, a wiadano o niej tylko tyle, że utrzymywała nader ożywioną korespondencję z pewnym austriackim spirytystą, który nazywał siebie baronem Nolde i któremu tak była oddana, że najmniejszej rzeczy nie umiała zdziałać bez uprzedniego uzyskania jego zgody lub raczej czegoś w rodzaju błogosławieństwa. W tych czasach była niezwykle otyła, o miękkiej, leniwej tuszy, jakby wlanej nieuważnie w luźne, jasne suknie. Ruchy miała zmęczone i niewyraźne, a oczy nieustannie przepelnione łzami. A jednak było w niej coś, co mi przypominało moją cichą, wiotką matkę. Im dłużej obserwowałem ją, tym więcej odnajdywałem w jej twarzy owych delikatnych i cichych rysów, których od śmierci matki nigdy sobie wyraźnie przypomnieć nie mogłem; teraz dopiero, kiedy widywałem codziennie Matyldę Brahe, wiedziałem znowu, jak wyglądała nieboszczka; tak, wiedziałem to może po raz pierwszy. Teraz dopiero z setek i tysięcy szczegółów układałem w sobie obraz zmarłej, ów obraz, który mi wszędzie towarzyszy. Później wyjaśniło mi się, że w twarzy panny Brahe istotnie były wszystkie szczegóły, określające rysy mej matki – tylko że coś jak cudze oblicze stanęło w poprzek tych rysów, roztrąciło je, powyginało i zatraciło ich łączność.

Obok tej damy siadywał synek pewnej kuzynki, chłopiec mniej więcej w moim wieku, ale mniejszy i węższy. Z pomarszczonej kryzy wyrastała cienka, blada szyja i ginęła pod długim podbródkiem. Wargi miał wąskie i zaciśnięte, nozdrza drgały lekko, a z pięknych ciemnych oczu jedno tylko było ruchome. Patrzyło ku mnie czasem spokojnie i smutno, a drugie tymczasem utkwione było w zawsze ten sam kąt, jak gdyby już było sprzedane i poza nawiasem.

Na drugim końcu stołu stał olbrzymi fotel mego dziadka, przysuwany przez lokaja, który poza tym nie miał żadnej roboty. W tym fotelu starzec zajmował tylko małą część miejsca. Byli ludzie, którzy głuchawego despotę nazywali ekscelencją i marszałkiem, inni dawali mu tytuł generała. I pewnie też naprawdę miał prawo do wszystkich tych godności, ale to sprawowanie urzędów minęło już tak dawno, że tytuły podobne nie bardzo już były zrozumiałe. Mnie się w ogóle wydawało, że do tej tak w pewnych chwilach ostrej, a jednak i nieokreślonej osobistości nie da się przyczepić żadne imię. Zdecydować się nigdy nie mogłem, żeby go nazwać dziadkiem, chociaż bywał niekiedy uprzejmy dla mnie, wołał mnie nawet do siebie, przy czym imię moje starał się zabawić żartobliwym tonem. Zresztą cała rodzina wobec hrabiego okazywała cześć i lęk zarazem, tylko mały Eryk poniekąd poufalił się ze zgrzybiałym panem domu; jego ruchome oko rzucało niekiedy szybkie, porozumiewawcze spojrzenia, na które starzec odpowiadał z równą szybkością. Czasami też podczas długich popołudni widywano ich, jak wyłaniali się na końcu głębokiej galerii, jak trzymając się za ręce szli wzdłuż starych ciemnych portretów, nic nie mówiąc, snadź<sup>22</sup> porozumiewając się w inny sposób.

Ja spędzałem całe dni w parku i daleko w lasach bukowych albo na wrzosowiskach. A były na szczęście w Urne psy, które mi towarzyszyły; był tu i ówdzie domek dzierżawcy czy folwark, gdzie dostać mogłem mleka i chleba, i owoców, a zdaje mi się, że wolności używałem dość swobodnie, nie dając się zastraszyć, przynajmniej w najbliższych tygodniach, myślą o wieczornych biesiadach. Nie rozmawiałem prawie z nikim, bo samotność radowała mnie szczerze. Z psami tylko trochę gadałem od czasu do czasu; rozumieliśmy się wyśmienicie. Zresztą milkliwość była poniekąd przymiotem rodzinnym, znałem ją u ojca i nie dziwiłem się, że przy wieczerzach nie mówiło się prawie nic.

W pierwszych co prawda dniach po naszym przyjeździe panna Matylda okazywała znaczną rozmowność. Pytała ojca o dawnych znajomych z zagranicznych miast, przypominała odległe wrażenia, wzruszała sama siebie do łez, wspominając zmarłe przyjaciółki i pewnego młodzieńca, o którym napomknęła, że się w niej kochał, a ona nie chciała reagować na to gorące i beznadziejne uczucie.

<sup>22</sup> snadź (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Ojciec mój słuchał uprzejmie, raz po raz kiwał potakująco głową i odpowiadał tylko najkonieczniejszymi słowami. Hrabia na końcu stołu uśmiechał się bez przerwy, obwisłymi wargami, twarz jego wydawała się większa niż zwykle, jak gdyby miał maskę. Sam się zresztą czasem odzywał, przy czym głos jego nie odnosił się do nikogo, ale słyhać go było, choć mówił bardzo cicho, w całej sali. Głos ten miał coś z jednostajnego, obojętnego tykania zegara; cisza dookólna jak gdyby miała swój własny pusty rezonans, dla każdej sylaby ten sam.

Hrabia Brahe za szczególną grzeczność w stosunku do mego ojca poczytywał sobie rozmowy o jego nieboszczce żonie, mojej matce. Nazywał ją hrabiną Sybillą, a wszystkie jego zdania kończyły się, jakby o nią pytał. Nawet zdawało mi się, sam nie wiem dlaczego, że mowa o bardzo młodej, białej dziewczynie, która lada chwila mogłaby tu wejść. W tym samym również tonie słyszałem go mówiącego o „naszej małej Annie Zosi”. A gdy pewnego dnia zapytałem o tę panienkę, którą tak szczególnie lubił dziadek, dowiedziałem się, że miał na myśli córkę Wielkiego Kanclerza Konrada Reventlow, świętej pamięci małżonkę Fryderyka Czwartego, od półtora z górą wieku wiecznym spokojem odpoczywającą w Roskilde. Zmiany czasu niczym były dla niego, śmierć była epizodnikiem bez znaczenia, osoby, raz przyjęte do jego wspomnień, istniały, a zgon ich nic absolutnie zmienić nie mógł.

W wiele lat potem, już po śmierci staruszka, opowiadano sobie, jak z tym samym uporem odczuwał przeszłość jako coś terazniejszego. Podobno kiedyś pewnej młodej damie opowiadano o jej synach, przede wszystkim o podróżach jednego z tych synów, podczas gdy owa dama, znajdująca się właśnie w trzecim miesiącu swojej pierwszej ciąży, bliska zemdlenia z przerażenia i strachu siedziała obok rozgadanego jegomościa.

Ale zaczęło się od tego, że ja się roześmiałem. Śmiałem się nawet głośno i nie mogłem się uspokoić. Pewnego wieczora brak było panny Matyldy. Stary, prawie zupełnie ślepy lokaj podszedł do jej miejsca i podał usłużnie półmisek. Przez chwilę tak stał; potem zadowolony odszedł dostojnie i podawał dalej, jak gdyby nic nie zaszło. Obserwowałem tę scenę i w momencie, kiedy na nią patrzałem, wcale nie wydała mi się komiczną. Ale po pewnej chwili, właśnie gdy miałem pełne usta, porwał mnie śmiech tak raptowny, że zachłysnąłem się i narobiłem szalonej wrzawy. I chociaż sytuacja mnie samemu była nader przykra, choć wszelkimi sposobami starałem się odzyskać powagę – śmiech wielkimi falami zalewał mnie raz po razie i najzupełniej mną zawładnął.

Ojciec, chcąc pokryć moje zachowanie, spytał swym płaskim, stłumionym głosem:

– Czy Matylda chora?

Dziadek uśmiechnął się na swój sposób, po czym odpowiedział zdaniem, na które, zbyt będąc zajęty sobą, nie zwróciłem uwagi, a które brzmiało mniej więcej tak:

– Nie, tylko nie chce spotkać się z Krystyną.

Więc też nie poczytywałem<sup>23</sup> tego za skutek jego słów, że mój sąsiad, śniady major, wstał i mrużąc niewyraźnie „przepraszam”, z ukłonem w stronę hrabiego opuścił salę. Uderzyło mnie tylko, że za plecami pana domu raz jeszcze odwrócił się w drzwiach, dając zapraszające i potakujące znaki małemu Erykowi, a ku memu największemu zdumieniu także i mnie, jak gdyby nas zachęcał do wyjścia razem z nim.

Byłem tak zaskoczony, że śmiech nagle przestał mnie męczyć. Zresztą już na majora nie zwracałem uwagi; nie lubiłem go, a przy tym spostrzegłem, że i Eryk nie patrzy na niego.

Wieczera wlokła się dalej jak zwykle i już podawano deser, kiedy uwagę moją zajął ruch, poczynający się w głębi sali, w półcieniu. Tam w kącie z wolna rozwarły się drzwi, według mego przekonania wiecznie zamknięte, o których opowiadano mi, że prowadzą na półpiętrze – i nagle oto, kiedy z nowym dla mnie zgoła<sup>24</sup> uczuciem ciekawości i zdumienia wytrzeszczałem oczy, w czerni otworu pojawiła się smukła, jasno ubrana postać kobieca, z wolna przybliżająca się ku nam.

<sup>23</sup> poczytywać (daw.) – uznawać. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> zgoła (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

Nie wiem, czy zrobiłem ruch jaki, czy wydałem głos – łoskot przewróconego krzesła oderwał mój wzrok od osobliwej postaci. Ujrzałem ojca, który zerwał się – i teraz, blady jak ściana, z zacisniętymi, zwisającymi pięściami szedł prosto na zjawę.

Ona tymczasem, obojętna zupełnie na tę scenę, sunęła ku nam, krok za krokiem – i już była niedaleko miejsca hrabiego, kiedy ów poderwał się nagłym ruchem, ojca złapał za rękę, pociągnął wstecz do stołu i trzymał. Obca dama wolno i obojętnie szła przez opustoszałą przestrzeń, krok za krokiem, wśród nieopisanej ciszy (a tylko gdzieś z drzeniem zabrzączało szkło), i w jakichś drzwiach przeciwległej ściany zniknęła. W tej sekundzie spostrzegłem, że to mały Eryk z głębokim ukłonem zamknął te drzwi za nieznaną.

Ja jeden do tej chwili siedziałem przy stole. Taki na moim krześle zrobiłem się ciężki, że miałem uczucie, jakbym nie był nigdy już zdolny podnieść się sam. Przez chwilę patrzyłem nie widząc. Wtem przypomniałem sobie ojca i zauważyłem, że starzec wciąż jeszcze trzyma go za rękę. Twarz ojca była teraz gniewna, krwią nabrzmiała, ale dziadek, palce jak białe pazury wpijając w dłoń ojca, uśmiechał się swoim sztucznym uśmiechem.

Słyszałem potem, że coś mówił zgłoszkę po zgłosce, a nie pojmowałem treści słów. Wraziły mi się jednak głęboko w słuch, bo po jakich dwu latach odnalazłem je nagle na dnie pamięci i odtąd je znam.

Rzekł:

– Krewki jesteś, szambelanie, i nieprzystojny. Czegóż nie puszczasz ludzi do ich zajęć?

– Kto to jest?! – przekrzykiwał ojciec.

– Ktoś, kto ma prawo pono<sup>25</sup> być tu. Nikt obcy. Krystyna Brahe.

Tu nastąpiła znowu ta dziwna, rozrzedzona cisza – i znowu zabrzączało szkło. Wtem ojciec jednym szarpnięciem wyrwał się i jak szalony wypadł z sali.

Całą noc słyszałem, jak chodził tam i sam po swym pokoju. Bo i ja spać nie mogłem. Lecz nagle nad ranem zbudziłem się jednak z czegoś, jak ze snu. Z przerażeniem, które ścięło mi krew do ostatniej kropli, zobaczyłem coś białego, siedzącego przy moim łóżku. Straszna rozpacz dała mi wreszcie siłę zagrzebania głowy pod kołdrą i tam w bezradnym strachu zacząłem płakać.

Nagle nad zapłakanymi oczami zrobiło mi się chłodno i jasno. Zacisnąłem je, całe we łzach, żeby nie widzieć nic. Lecz głos, który oto tuż przemawiał do mnie, muskał mi twarz ciepło i słodko – i poznałem go: był to panny Matyldy głos.

Uspokoilem się natychmiast. I nawet kiedy już byłem do cna spokojny, pozwalałem się wciąż jeszcze pocieszać. Czuję wprawdzie, że dobroć ta była zbyt mdła, ale raczyłem się nią jednak i miałem wrażenie, że jakoś na nią zasłużyłem.

– Ciociu – rzekłem wreszcie, usiłując z jej rozplyniętej twarzy wydobyć rysy matki. – Ciociu, kto to był ta dama?

– Ach – odrzekła panna Matylda z westchnieniem, które mi się wydało dziwne – kobieta nieszczęśliwa, moje dziecko, nieszczęśliwa.

Tego dnia rano zauważyłem w jednym pokoju kilku służących zajętych pakowaniem rzeczy. Pomyślałem, że wyjedziemy, uważałem to za zupełnie naturalne, że teraz wyjedziemy. Może i taki był zamiar ojca. Nie wiem, co go skłoniło, że po tym wieczorze jeszcze pozostał w Urne. Więc nie wyjechaliśmy. Całe osiem czy dziewięć tygodni jeszcze zostaliśmy w tym domu, znosiliśmy nacisk jego dziwów i trzy razy jeszcze widzieliśmy Krystynę Brahe.

Nic wtenczas nie wiedziałem o jej historii. Nie wiedziałem, że dawno, dawno temu umarła przy drugim porodzie, wydając na świat chłopca, co rósł ku ciężkim i okrutnym przeznaczeniom – nie wiedziałem, że była umarłą. Ale mój ojciec wiedział. Czy chciał się zmusić, on, który był tak namiętny i skłonny do jasnej konsekwencji, czy chciał się zmusić do wytrzymania tej przygody spokojnie i bez

---

<sup>25</sup> pono (daw.) – podobno. [przypis edytorski]

pytań? Nie pojmując, widziałem, jak walczył z sobą, nie rozumiejąc, przeżyłem chwilę, kiedy się ostatecznie opanował.

Było to wtedy, kiedy Krystynę widzieliśmy ostatni raz. Tym razem panna Matylda przysłała do stołu; ale była inna niż zwykle. Podobnie jak w pierwszych dniach po naszym przyjeździe, rozmawiała nieustannie bez określonego związku i mieszając się ustawicznie, a przy tym był w niej niepokój fizyczny, który sprawiał, że co chwila poprawiała sobie włosy lub suknie – aż nagle zerwała się z przenikliwym okrzykiem skargi i zniknęła.

W tej samej chwili zwróciłem spojrzenie mimowolnie ku wiadomym drzwiom i naprawdę Krystyna Brahe zjawiła się.

Sąsiad mój, major, zrobił ostry, krótki ruch, który udzielił się i mnie, ale najwidoczniej nie miał już siły wstać. Śniadą, starą, plamistą twarz obracał od jednych do drugich, usta miał otwarte, a język wił się za popsutymi zębami. Potem nagle ta twarz zniknęła i siwa głowa leżała na stole, ramiona jak w kawałach leżały na niej i pod nią, a gdzieś wyłoniła się zwiędła plamista ręka i dygotała.

I w tej chwili mijala nas Krystyna, krok za krokiem, powolnie jak chora, wśród ciszy nieopisanej, w którą wgryzł się jeden tylko jęklivy dźwięk, jak skowyt starego psa. Ale nagle po lewej stronie srebrnego łabędzia, pełnego narcyzów, wysunęła się wielka maska starca z szarym swoim uśmiechem. Kielich wina podniósł w stronę ojca. I oto ujrzałem, jak ojciec w chwili, kiedy Krystyna przesuwiała się za jego krzesłem, sięgnął po swój kielich i unióś go, jak coś bardzo ciężkiego, na trzy cale ponad stół. I teje samej nocy wyjechaliśmy.

Siedzę i czytam poetę. Wielu jest ludzi w sali, ale nie czuje się ich. Są w książkach. Czasem ruszają się wśród stronic jak ludzie, którzy śpią i obracają się między dwoma snami. Ach, jak to dobrze być pośród czytających ludzi. Czemu oni nie są zawsze tacy? Choćbyś podszedł do którego i dotknął go lekko: nie poczuje nic. A gdy wstając potrącisz sąsiada i przeprosisz go, skinie w stronę, z której posłyszał twój głos, twarz jego zwraca się ku tobie i nie widzi cię, a włosy jego są jak włosy śpiących. Jak to błogo!

A ja siedzę i mam poetę. Co za przeznaczenie. Jest oto w sali ze trzystu ludzi, którzy czytają; ale to nie jest możliwe, aby każdy poszczególny miał jednego poetę. (Bóg wie, co oni mają.) Trzystu poetów nie istnieje. Ale patrz, co za przeznaczenie: ja, może najmizerniejszy wśród tych czytających, ja, cudzoziemiec, ja mam poetę. Chociaż jestem ubogi. Choć ubranie, które noszę co dzień, zaczyna świecić w różnych miejscach, choć moim butom można by zarzucić to i owo. Wprawdzie kołnierzyk mam czysty i bieliznę też – i mógłbym, tak jak jestem, pójść do pierwszej lepszej cukierni, przypuśćmy na wielkich bulwarach, i mógłbym śmiało ręką sięgnąć do talerza z ciastkami. Nie widziano by w tym nic dziwnego, nie zwymyślano by mnie ani wyrzucono, bo jest to mimo wszystko ręka z wyższych sfer, ręka, którą się myje cztery czy pięć razy dziennie. Nawet za paznokciami nie ma nic, nie ma śladów atramentu, a przede wszystkim przeguby są bez zarzutu. Tak daleko ubodzy ludzie się nie myją, jest to fakt stwierdzony. Więc z czystości przegubów można snuć pewne wnioski. Wysnuwa się je, owszem. Wysnuwa się w sklepach. Ale jest jednak, na Boulevard Saint-Michel na przykład albo na rue Racine, parę istot, które nie dają sobie oczu zamydlić, które kpią sobie z przegubów. Tacy spojrzą na mnie i już wiedzą. Wiedzą, że właściwie to ja do nich należę, że tylko trochę błaznuję. Są przecież zapusty. A oni nie chcą mi psuć zabawy; oni się tylko trochę uśmiechają szyderczo i mrugają oczami. Nikt tego nie widzi. Zresztą traktują mnie jak pana. A skoro tylko ktoś jest w pobliżu, no, to już płaszczą się przede mną. Kłaniają się, jakbym miał futro, a przed domem powóz. Niekiedy dają im dwa sous<sup>26</sup> i drzę, że nie przyjmą; ale przyjmują. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że znów uśmiechają się i mrugają cichaczem.

Co to za ludzie? Czego chcą ode mnie? Czy na mnie czekają? Po czym poznają mnie? Prawda, wąsy mam nieco zaniedbane, a trochę, troszeczkę podobne są one do ich starych, chorych,

<sup>26</sup> sou – drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

spłowiących bród, które zawsze na mnie robiły wrażenie. Ale czyż mi nie wolno zaniedbywać wąsów? Wielu zapracowanych ludzi to czyni, a nikomu się przecież nie śni zaliczać ich do wyrzutków. To bowiem jest mi jasne, że oni są wyrzutkami, nie żebracy tylko; nie, to właściwie nie są żebracy, trzeba rozróżniać. To są odpadki, łupiny ludzi wyplutych przez los. Wilgotni od śliny losu przylepiają się do muru, do latarni, do plakatów na słupie albo ściekają z wolna wzdłuż uliczki, a za nimi ciągnie się ciemny, brudny ślad.

Czegóż u licha chciała ode mnie ta starucha, kiedy z szufladką od nocnego stolika, w której klekotało kilka igieł i guzików, wypęzła ku mnie z jakiejś nory? Dlaczego szła bez przerwy obok mnie i bacznie mnie śledziła? Jakby usiłowała poznać mnie mokrymi oczami, które wyglądały, jak gdyby ktoś chory napluł jej zielonego śluzu pod krwawe powieki.

I skąd wtedy owa szara kobiecina wpadła na pomysł stania u mego boku przed wystawą okienną przez kwadrans, pokazując mi stary, długi ołówek, wysuwający się nieskończenie powolnie z jej zniszczonych, zaciśniętych rąk? Udawałem, że przyglądam się wystawie i że nie widzę nic. Ale ona wiedziała, że ją spotrzegłem, wiedziała, że stałem rozmyślając, co ona takiego robi. Bo że nie mogło chodzić o ten ołówek, to rozumiałem dobrze, czułem, że to był znak, znak dla wtajemniczonych, znak, który znają wyrzutki. Przeczuałem, iż daje mi do zrozumienia, że gdzieś mam pójść czy coś uczynić. A co najdziwniejsze, że absolutnie nie mogłem pozbyć się uczucia, jakoby naprawdę istniała pewna umowa, do której przynależał ów znak, i jakoby ta scena była w istocie rzeczy czymś, czego powinienem się być spodziewać.

To było dwa tygodnie temu. Lecz teraz prawie nie mija żaden dzień bez takiego spotkania. Nie tylko o zmroku, ale w biały dzień, w najludniejszych ulicach zdarza się, że nagle stoi przede mną człowieczek albo staruszka, kiwa głową, coś mi pokazuje i znika, jak gdyby wszystko już było zrobione. Pewnego dnia mogłoby im się nawet zachcieć przyjść aż do mego pokoju, wiedzą na pewno, gdzie mieszkam, a oni już potrafią tak się urządzać, że ich konsjerżka<sup>27</sup> nie zatrzyma. Ale tu, moi mili, tu jestem bezpieczny przed wami. Idę trochę nieśmiały, co jest naturalne, ulicami, ale wreszcie staję przed drzwiami oszklonymi, otwieram je, jak gdybym był u siebie, u następnych drzwi pokazuje bilet (zupełnie tak samo, jak wy mi pokazujecie wasze rzeczy, z tą jeno różnicą, że u mnie wiadomo, co myślę), a potem jestem wśród książek, jestem wam zabrany, jak gdybym umarł, i siedzę, i czytam poetę.

Wy nie wiecie, co to jest – poeta?

Verlaine<sup>28</sup>...

Nic? Żadnych wspomnień? Nie.

Czy nie rozróżnialiście wśród tych, których znacie? Różnice dla was nie istnieją, to wiem. Ale poeta, którego czytam, to jest inny, nie mieszkający w Paryżu, zupełnie inny. Ktoś, kto ma cichy domek w górach. Taki brzmi, jak dzwon w czystym przestworzu. Szczęśliwy poeta, który o swoim oknie opowiada i o szybach szafy do książek, gdzie odbija się w zamyśleniu dobra, samotna dal. To jest właśnie ten poeta, którym chciałbym być, bo on tyle wie o dziewczynach, a ja też bym o nich wiedział wiele. On wie o dziewczynach, które żyły przed stu laty; to nic nie znaczy, że one nie żyją, bo on wie wszystko. A to jest najważniejsze. On ich imiona wymawia, te ciche, smukło pisane imiona o przestarzałych zawijasach długich liter, i dorosłe imiona ich starszych przyjaciółek, w których rozbrzmiewa już drobina losu, szczypta rozczarowania i śmierci. Może w szufladce mahoniowego biurka ma on wyblakłe ich listy i luźne karty pamiętników, w których są imieniny, wycieczki letnie, imieniny. Albo może w brzuchatej komodzie w głębi jego sypialni jest szuflada, gdzie przechowano ich wiosenne suknie; białe sukienki, które się w czas Wielkiejnocy kładło po raz pierwszy, sukienki tiulowe w groszki, właściwie stosowne na lato, którego doczekać się nie można.

<sup>27</sup> *konsjerżka* (z fr.) – dozorczyni. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Verlaine, Paul* (1844–1896) – francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, przedstawiciel impresjonizmu w literaturze. [przypis edytorski]

O, jakież los szczęśliwy, siedzieć tak w cichej izbie odziedziczonego domu wpośród samych spokojnych, zasiedziałyh rzeczy i słyszeć na dworze w lekkim, seledynowym ogrodzie te pierwsze szczygły, które próbują, a w oddali zegar na wiejskim kościółku. Siedzieć i spoglądać na tę ciepłą smugę popołudniowego słońca, i wiele wiedzieć o dziewczynach, co przeminęły, i być poetą. I myśleć, że ja też stałbym się takim poetą, gdyby mi danym było mieszkać gdziekolwiek, gdziekolwiek na świecie, w jednym z tych wielu zamkniętych wiejskich domków, o które nikt się nie troszczy. Jednego tylko potrzeba by mi pokoju (słonecznego pokoju pod facjatą<sup>29</sup>). Tam mieszkałbym sobie z moimi gratami, wśród portretów rodzinnych, wśród książek. I fotel byłbym miał, i kwiaty, i psy, i sporą laskę na kamieniste drogi. I nic więcej. Tylko książkę, oprawną w żółtawą skórę, w tonie kości słoniowej, z kwiecistym starym wzorem od środka: w niej bym pisał. Pisałbym dużo, gdyż miałbym wiele myśli i wspomnień o wielu.

Ale inaczej się stało, Bóg będzie wiedział, czemu. Moje stare meble gniją w stodole, w którą pozwolono mi je wstawić, a ja sam, tak, mój Boże, ja nie mam dachu nad sobą, a deszcz pada mi w oczy.

Czasami przechodzę koło sklepików, gdzieś w okolicy rue de Seine. Handlarze starzyny albo sztychów, albo starych książek z przepelnionymi wystawami. Nikt nigdy do nich nie zachodzi, widocznie mało zarabiają. Ale skoro zajrzesz do środka, siedzą tam, siedzą i czytają, bez kłopotu; nie troskają się o jutro, nie boją się niepowodzeń, mają psa, dobrze wytresowanego, który siedzi w nogach, albo kota, który ciszę czyni jeszcze większą, sunąc wzdłuż szeregu książek, jak gdyby napisy ścierał z grzbietów.

Ach, gdyby to starczyło: mam czasem ochotę kupić sobie taką przepelnioną wystawę książek i usiąść za nią z psem na dwadzieścia lat.

Dobrze jest powiedzieć głośno:

– Nic się nie stało.

Jeszcze raz:

Nic się nie stało.

Czy to pomaga?

Że mój piec znowu dymił i że musiałem wyjść z domu, to naprawdę nie jest tragedią. Że czuję się zaziębiony i nieswój, to nic. Że cały dzień latałem po ulicach, to moja własna wina. Mogłem tak samo siedzieć w Luwrze. Lecz nie, nie mogłem. Tam są pewni ludzie, którzy się chcą ogrzać. Siedzą na pluszowych ławkach, a ich nogi stoją w rzędzie, jak wielkie puste buty, na kratkach kaloryferów. Są to bardzo skromni ludzie, którzy są wdzięczni, jeśli woźni w ciemnych mundurach pełnych orderów tolerują ich. Ale kiedy ja wchodzę, oni uśmiechają się wyzywająco, kiwając lekko głową. A potem, kiedy posuwam się wzdłuż obrazów, nie spuszczaają mnie z oka, nie spuszczaają mnie wcale z tego rozbełtanego, mętnie spłyniętego oka.

Dobrze zatem, że nie poszedłem do Luwru. Byłem bez przerwy w ruchu. Bóg wie, w ilu byłem dzielnicach, miastach, na ilu cmentarzach, mostach i wiaduktach. Kędyś widziałem człowieka, pchającego wózek z jarzynami. Krzyczał:

– *Chou-fleur*<sup>30</sup>, *chou-fleur*...

To „fleur” z dziwnie zamąconym „eu.” Przy nim szła kanciasta, brzydka kobieta, trącając go od czasu do czasu. A kiedy go trącała, krzyczał. Czasami krzyczał też sam, ale wtedy krzyczał daremnie i zaraz potem musiał krzyzczeć znowu, bo byli przed domem, który kupował. Czy mówiłem już, że był ślepy? Nie? A więc był ślepy. Ślepy był i krzyczał. Fałszuję, jeśli tak mówię, sprzeniewierzam ten wózek, który on pchał – udaję, że nie zauważyłem, jak anonsuje kalafiory. Ale czy to jest istotne? A

<sup>29</sup> *facjata* – frontowa ściana kamienicy. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *Chou-fleur* (fr.) – kalafior. [przypis edytorski]

gdyby nawet było istotne – czyż nie o to chodzi, czym cała ta rzecz była dla mnie? Widziałem starego człowieka, który ślepy był i krzyczał. To ja widziałem. Widziałem.

Czy kto uwierzy, iż są takie domy? Nie, ludzie powiedzą, że fałszuję. Tym razem jest to prawda, bez opuszczeń, oczywiście, i bez dodatków. Skądby mi się to miało wziąć? Wiadomo, że ubogi. Wiadomo. Domy? Ale chcąc być ścisłym, były to domy, których już nie było. Domy, które rozebrano od góry do dołu. A istniały tylko te drugie domy, które stały obok tamtych, wysokie domy sąsiednie. Było niebezpieczeństwo oczywiste, że się przewrócą, skoro tuż obok pozabierano wszystko; całe bowiem rusztowanie z długich, wysmołowanych masztów wbite było skośnie między powierzchnię placu zasłanego gruzem a obnażony mur. Nie wiem, czy mówiłem już, że myślę o tej ścianie. Ale to nie była, że tak powiem, pierwsza ściana istniejących domów (co przecież można było przypuścić), lecz ostatnia ściana byłych domów. Widać było ich ścianę wewnętrzną. Widać było na poszczególnych piętrach ściany pokoiów, a na nich przyklepione jeszcze tapety i tu, i ówdzie szczątki podłóg albo sufitów. Obok ścian pokojowych wzdłuż całego muru pozostało jeszcze brudnobiałe pasmo – i tędy pełzała w niesłychanie wstrętnych, miękkich jak glista, jakby trawiących ruchach otwarta, rdzawa rura klozetowa. Po szlakach, którymi szedł gaz świetlny, pozostały na brzegu sufitów szare, zapyłone ślady, które tu i tam zgoła niespodzianie skręcały okrągło i wbiegały w kolorową ścianę, gdzieś w dziurę wydartą czarno i bezwzględnie.

Najbardziej wszakże niezapomniane były same te ściany. Twarde życie tych izb nie dało się zdeptać. Było jeszcze, trzymało się pozostałych gwoździ, stało na wystających na jeden łokieć podłogach, skuliło się pod resztkami kątów, kędy jeszcze było trochę wnętrza. Widziało się, że było to życie i w farbie, którą powolnie rok za rokiem przemieniło: błękit w spleśniałą zieleń, zieleń w szarzynę, a żółtość w starą odstałą biel, która gnije. Ale żyło ono niemniej w miejscach świeżych, co się zachowały na tyłach luster, obrazów i szaf; bo naszkicowało i obrysowało ich kontury i, razem z kurzem i pajakami, było także w tych ukrytych miejscach, obnażonych teraz. Było życie ono w każdym zdartym paseczku i w bąblach wilgotnych u dołu tapet, chwiała się w zwisających strzępach, wydzielalo się z szpetnych, bardzo dawno powstałych plam.

I oto z tych ścian, niegdyś niebieskich, zielonych i żółtych, obramowanych szlakami odłupanych murów, wystawało tych żyć powietrze, zacięte, leniwe, zbutwiałe powietrze, żadnym dotąd wiatrem nie rozwiane. Tam tkwiły obiady i choroby, i wyziewy, i wieloletni dym, i pot, co wydziela się spod pachwin i obciąża suknie, i czczy zapach z ust, i fetor spotniałych nóg. Tam tkwił kwas uryny i żar sadzy, i szary opar ziemniaczany, i ciężki, śliski smród zestarzałego smalcu. Słodkawa, długa woń zaniedbanych niemowląt i bojaźliwe wyziewy dzieci, co idą do szkoły, i zaduch z łóżek dojrzewających chłopców. I przyłączyło się wiele rzeczy, które przysły z dołu, z parującej otchłani ulicznej, a inne pościekały z góry z deszczem, który nad miastami nie jest czysty. I niejedno naznosiły słabe, oswojone wiatry domowe, pozostające zawsze na tej samej ulicy, i wiele tam było jeszcze rzeczy o niewiadomym pochodzeniu. Wszak mówiłem, że wszystkie mury były rozebrane doszczętnie? Otóż o tej ścianie mówię bez przerwy. Powie ktoś, że długo przed nią stałem; ale gotów jestem przysiąc, że zacząłem biec z chwilą, gdy poznałem tę ścianę. To bowiem jest właśnie straszne, że ją poznałem. Poznają to wszystko i dlatego tak po prostu to wchłaniam; czuje się to w moim wnętrzu jak u siebie.

Czułem się nieco wyczerpany po tym wszystkim, rzekłbym, niemal nadwerężony – i przeto za wiele to było na mnie, że i on jeszcze na mnie czekał. Czekał w małej *crêmerie*<sup>31</sup>, gdzie chciałem zjeść jajecznicę; głodny byłem, przez cały dzień nie zdobyłem się na jedzenie. Ale i teraz nie mogłem nic spożyć; zanim jajecznica była gotowa, coś mnie znowu wyгнаło na ulicę, płynące ku mnie zgęstniałą ciecżą ludzi. Był bowiem karnawał i wieczór – i ludzie wszyscy mieli czas, i wałęsali się, i ocierali jeden o drugiego. A twarze ich były pełne światła bijącego z bud widowiskowych i śmiech wyciekał im z ust jak ropa z otwartych ran. Śmiali się coraz bardziej i tłoczyli coraz ciaśniej, im niecierpliwiej starałem się ruszyć z miejsca. Chustka jakiejś dziewczki zaczepiła się o mnie, zacząłem ją wlec za sobą,

<sup>31</sup> *crêmerie* (fr.) – mleczarnia (tu w znaczeniu: mały zakład gastronomiczny). [przypis edytorski]

a ludzie zatrzymywali mnie ze śmiechem – i czułem, że i ja miałem się śmiać, ale nie mogłem. Ktoś cisnął mi w oczy garść confetti i to paliło jak bicz. Na rogach ludzie byli zaklinowani, jeden wsunięty w drugiego, i nie było w nich żadnego posuwania się, tylko lekkie, miękkie, miarowe ruchy, jak gdyby się parzyli stojąc. Ale choć oni stali, a ja nad brzegiem jezdnii, kędy były w ciżbie wyłomy, biegłem jak wariat, to w rzeczywistości tak było, że oni się ruszali, a ja ani drgnąłem. Bo nie zmieniło się nic; kiedy podnosiłem oczy, widziałem wciąż te same domy po jednej i budy po drugiej stronie. Może też stało w miejscu wszystko, a tylko we mnie i w nich był zawrót, co zdawał się kręcić wszystkim. Nie miałem czasu myśleć o tym, ciężki byłem od potu i ogłuszający ból wirował we mnie, jakby w mej krwi krążyło społem coś zbyt wielkiego, rozsadzającego żyły, gdziekolwiek się wdarło. A przy tym czułem, że powietrze dawno się skończyło i że już tylko wdychałem wyziewy, których płuca nie przyjmowały.

Ale teraz już po wszystkim; przetrwałem. Siedzę w swoim pokoju przy lampie; jest chłodno, bo nie mam odwagi spróbować pieca; a nuż by kopcił i znów bym musiał uciekać?

Siedzę i rozmyślam: gdybym nie był ubogi, wynająłbym pokój inny, pokój z meblami nie tak zniszczonymi, nie tak pełnymi poprzednich lokatorów. Na początku naprawdę trudno mi było głowę oprzeć na tym fotelu; jest tam bowiem w zielonym obiciu lekko-szare zagłębienie, do którego zdają się pasować wszystkie głowy. Przez pewien czas byłem na tyle ostrożny, że podkładałem pod włosy chustkę, ale teraz zbyt jestem zmęczony. Zauważyłem, że i tak można, i że ta mała wklęsłość zrobiona jest akuratanie na moją czaszkę, wprost na miarę.

Gdybym jednak nie był ubogi, kupiłbym sobie przede wszystkim dobry piec i paliłbym czystym, mocnym drzewem, które jest z gór, a nie tymi opłakanymi *têtes de moineau*<sup>32</sup>, których swąd tak ściska pierś i głowę mąci. I dalej musiałby ktoś być, kto sprząta bez rubasznego hałasu i piec opatrzy<sup>33</sup>, jak mi potrzeba. Bo często, kiedy przez cały kwadrans muszę klęczeć przed piecem i grzebać w nim, z czołem naprężonym od bliskiego żaru i z ogniem w rozwartych oczach, wydaję całą siłę, na jaką mnie stać w ciągu dnia – i skoro potem zjawiam się wśród ludzi, wtedy im naturalnie łatwo. Czasem, gdy jest wielki natłok, brałbym powóz, przejeżdżałbym, codziennie jadłbym u któregoś Duvala... a nie włączył się po kremeriach...

Czy on by też był u takiego Duvala?

Nie. Tam nie byłoby mu wolno czekać na mnie. Umierających nie wpuszcza się. Umierających? Ja przecież siedzę teraz w swoim pokoju. Mogę przecież próbować spokojnie myśleć o tym, co mi się przydarzyło. Dobrze jest nic nie pozostawić w niepewności.

A więc wszedłem i zrazu spostrzegłem tylko, że stolik, przy którym często siadywałem, zajęty był przez kogoś innego. Skinąłem w stronę bufetu, zamawiając danie, i usiadłem obok. Ale uczułem go, choć się nie ruszał. Tę właśnie nieruchomość uczułem i pojąłem piorunem. Łączność między nami powstała i wiedziałem, że on zmartwił z przerażenia. Wiedziałem, że to przerażenie sparaliżowało go, przerażenie na widok czegoś, co się w nim działo. Może jakieś naczynie w nim pękło, może trucizna, której się bał dawno, teraz właśnie wkraczała w komorę jego serca, może wielki wrzód pękł w jego mózgu jak słońce, które mu przemieniło świat. Z nieopisanym wysiłkiem zmuszałem się do patrzenia nań, albowiem jeszcze wierzyłem, że to wszystko przywidzenie.

Nagle stało się: zerwałem się błyskawicznie i wypadłem na ulicę; nie omyliłem się. Siedział tam w grubym, czarnym płaszczu zimowym, a szara natężona twarz zwiślała głęboko w wełniany szal. Usta były zawarte, jakby z impetem zatrzaśnięte, ale nie sposób było orzec, czy oczy jego jeszcze patrzyły: zamglone, jak dym szare szkła okularów leżały przed nimi i drżały z lekka. Nozdrza miał rozdęte, a długi włos nad skrońmi, skąd wszystko było zabrane, wiądnął jak w upale nadmiernym. Uszy były długie, żółte, z wielkim za sobą cieniem. Tak, on wiedział, że teraz oddala się od wszystkiego: nie tylko od ludzi. Jedna chwila jeszcze, a wszystko straci sens – a ten stół i ta filiżanka, i stołek ten,

<sup>32</sup> *tête de moineau* (fr.) – chaber. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *opatrzeć* (daw.) – zaopatrzeć, przygotować. [przypis edytorski]

którego się ręce czepiają, wszystko codzienne i najbliższe stanie się niezrozumiałe, obce i ciężkie. Tak siedział oto i czekał, aż to się dokona. I już się nie bronił.

A ja się bronię jeszcze. Bronię się, choć wiem, że serce mam już wywieszona i że i tak już żyć nie mogę, nawet gdyby teraz moi dręczyciele poniechali mnie.

Mówię sobie: nic się nie stało – a jednak jak ja potrafiłem pojąć tego umierającego człowieka, ponieważ i we mnie dzieje się coś, co zaczyna mnie od wszystkiego dzielić i oddalać. Jaką ja grozę czułem, gdy słyszałem, jak mówiono o konającym: już nie rozpoznawał nikogo! Wtedy wyobrażał sobie samotne oblicze, które podniosło się z poduszek i szukało, czegoś znajomego szukało, czegoś już raz widzianego szukało, a nie było nic – nic. Gdyby strach mój nie był tak ogromny, pocieszyłaby mnie myśl, że nie jest niemożliwością widzieć wszystko inaczej, a jednak żyć. Ale ja się boję, ja się boję straszliwie tej przemiany. Ja przecie wcale jeszcze nie oswoiłem się z tym światem, który mi się wydaje dobry. Cóż mam począć w innym? Tak bym bardzo chciał pozostać wśród tych kategorii, które polubiłem, a skoro już coś się musi zmienić, chciałbym przynajmniej żyć pośród psów, które mają świat pokrewny i rzeczy te same.

Jeszcze przez chwilę mogę spisywać to wszystko i mówić. Ale przyjdzie godzina, kiedy ręka będzie daleko ode mnie, a gdy rozkażę jej pisać, będzie pisała słowa, których nie mam na myśli. Czas nadejdzie innego wykładania i słowo na słowie nie pozostanie, i treść wszelaka rozplynie się jak chmura, i jak woda opadnie. Przy całym tym strachu jednak jestem ostatecznie jak ktoś, co stoi przed czymś wielkim – i przypominam, że dawniej często podobnie działo się we mnie, nim zaczynałem pisać. Ale tym razem ja będę pisany. Jam jest wrażeniem, które się przemieni. Och, maluczko, a mógłbym to wszystko pojąć i zaaprobować. Jeden krok, a wielka nędza moja stałaby się szczęśliwością. Ale ja tego kroku uczynić nie umiem, ja upadłem i już powstać nie mogę, bo jestem złamany. Wieczniem jeszcze wierzył, że pomoc jakaś przyjsć może.

Oto tu leży przede mną, własnym moim pismem pisane, com się modlił w każdy wieczór. Odpisałem to sobie z książek, gdzie to znalazłem, żeby mi było najzupełniej bliskie i z mojej wydane ręki jak własne. I teraz jeszcze raz to spiszę, tu przed moim stołem uklęknię i spiszę. Bo tak dłużej będę to miał niż czytając – a każde słowo trwa i ma czas przebrzmieć.

„Mécontent de tous et mécontent de moi, je voudrais bien me racheter et m'enorgueillir un peu dans le silence et la solitude de la nuit. Ames de ceux que j'ai aimés, âmes de ceux que j'ai chantés, fortifiez-moi, soutenez-moi, éloignez de moi le mensonge et les vapeurs corruptrices du monde; et vous, Seigneur mon Dieu! accordez-moi la grâce de produire quelques beaux vers qui me prouvent à moi-même que je ne suis pas le dernier des hommes, que je ne suis pas inférieur à ceux que je méprise.”<sup>34</sup>

„Synowie głupich i podłych i na ziemi zgoła się nie ukazujący.

Teraz obróciłem się w piosnkę ich i stałem się im przypowieścią.

Rozkopali drogi moje...

Wniwecz jestem obrócony... a nie był, kto by dał pomoc.

A teraz we mnie samym więdnie dusza moja i opanowały mię dni utrapienia.

W nocy wiercą boleści kość moję; a ci, którzy mię jedzą, nie śpią.

Od mnóstwa ich kazi się odzienie moje i jako obojczykiem szaty opasali mię.

Wnętrznosci moje wezwrzały bez żadnego odpoczynku, ubieżyły mię dni utrapienia.

Arfa moja obróciła się w żalobę i organy moje w głos płaczących<sup>35</sup>”.

---

<sup>34</sup> „Mécontent de tous...” – Niezadowolony z siebie i niezadowolony z wszystkich, pragnąłbym siebie odkupić i odzyskać nieco dumy w milczeniu i samotności nocy. Dusze tych, których miłowałem, dusze tych, których opiewałem, skrzepcie mnie, podtrzymajcie, oddalcie ode mnie kłamstwo i zatruwające wyziewy świata; i ty, Panie mój i Boże! użycz mi łaski zestawienia kilku pięknych wierszy, które by udowodniły mi, że nie jestem ostatnim z ludzi, że gorszy nie jestem od tych, którymi gardzę. (Charles Baudelaire, *O pierwszej nad ranem*, tłum. Stefan Napierski). [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *Synowie głupich i podłych i na ziemi zgoła się nie ukazujący...* – Jb 30, 8-31, w tłumaczeniu Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

Lekarz mnie nie zrozumiał. Nic. Trudno też to było opowiedzieć. Chcieli próbę zrobić z elektryzowaniem. Dobrze. Dostałem kartkę: o pierwszej miałem być w Salpêtrière. Byłem. Długo musiałem mijać różne baraki, kilka dziedzińców, gdzie tu i ówdzie pod pustymi drzewami stali ludzie w białych czepkach jak skazańcy. Nareszcie wszedłem w długą, ciemną, korytarzową przestrzeń, która po jednej stronie miała cztery okienka z matowego, zielonego szkła, a okna te rozdzielone były szeroką, czarną ścianą. Przed nią ciągnęła się ława drewniana, mijając wszystko, a na tej ławie siedzieli oni, którzy znali mnie i czekali.

Tak, byli tu wszyscy. Skoro przywykłem do zmroku izby, zauważyłem, że wśród tych siedzących ramię przy ramieniu w nieskończonym szeregu mogło być też kilkoro innych ludzi, małych ludzi, rzemieślników, posługaczek i tragarzy. Na dole, po wąskiej stronie korytarza, na specjalnych krzesłach rozsiadły się, rozmawiając, dwie grube kobiety, przypuszczalnie stróżki.

Spojrzałem na zegarek. Za pięć minut pierwsza. No, za pięć, powiedzmy za dziesięć minut musi przyjść kolej na mnie, więc nie najgorzej.

Powietrze było złe, ciężkie, pełne ubrań i oddechów. W którymś miejscu ze szpary w drzwiach dobywał się mocny, wzmagający się chłód eteru.

Zacząłem chodzić tam i z powrotem. Przyszło mi na myśl, że mnie tu przysłano, do tych ludzi, w tę przepelnioną, publiczną godzinę przyjęć. Było to poniekąd pierwsze oficjalne potwierdzenie, że należę do wyrzutków. Czy lekarz to wyczytał z mej miny? Ale wizytę składałem w nie najgorszym ubraniu, posłałem bilet wizytowy. A jednak musiał on się jakoś dowiedzieć, może sam się zdradziłem. Teraz, gdy to było faktem, wcale tego nie uważałem za coś bardzo złego; ludzie siedzieli cicho i nie zważali na mnie. Niektórzy mieli bóle i kiwali nieznacznie nogą, aby sobie ulżyć. Różni mężczyźni złożyli głowy w otwartych dłoniach, inni spali twardo z ciężką, zachmurzoną twarzą. Gruby jakiś jegomość z czerwoną, spuchniętą szyją siedział podany naprzód, gapił się na podłogę i spluwał od czasu do czasu głośno w jeden punkt, który wydawał mu się odpowiedni. Dziecko szlochało w kącie; długie, chude nogi podciągnęło na ławkę i trzymało je w silnym uścisku, jak gdyby miało się rozstać z nimi. Mała, blada kobieta w okrągłym, czarnymi kwiatami przybranym kapeluszu krepowym, krzywo nasadzonym na włosy, wokół wąskich warg miała grymas jakiegoś uśmiechu, lecz obolałe powieki wilgotniały nieustannie.

Niedaleko posadzono dziewczynę o gładkiej okrągłej twarzy i wypchniętych na wierzch oczach, które były bez wyrazu; miała otwarte usta tak, iż widziało się białe lepkie dziąsła i stare zanikające zęby.

I wiele było opatrunków. Były opatrunki opasujące całą głowę, warstwa przy warstwie, aż zostało się jedno tylko oko, nie należące już do nikogo. Opatrunki, które pokrywały, i opatrunki, które ukazywały to, co było pod spodem. Opatrunki, które otwarto i w których teraz jak w brudnym łożu leżała ręka, co już ręką nie była. I owinięta noga, stojąca poza szeregiem, wielka jak cały człowiek.

Chodziłem wzdłuż i wszerz i siliłem się na spokój. Zajmowałem się skwapliwie<sup>36</sup> przeciwnie ścianą. Spostrzegłem, że zawiera szereg pojedynczych drzwi i nie sięga sufitu, tak iż korytarz ten niezupełnie był oddzielony od przestrzeni przylegających.

Spojrzałem na zegarek; od godziny już przechadzałem się... Po chwili zjawili się lekarze. Najpierw kilku młodych, którzy przeszli z obojętną twarzą, wreszcie ten, u którego ja byłem, w jasnych rękawiczkach, *chapeau à huit reflets*<sup>37</sup>, w nieskazitelnym palcie. Spostrzegłszy mnie, uniósł nieco kapelusza i uśmiechnął się roztargniony. Była teraz nadzieja, że mnie zaraz zawołają, ale minęła znów godzina. Nie pamiętam, jak ją spędziłem. Minęła. Stary człowiek, coś jak posługacz, zjawił się w poplamionym fartuchu i trącił mnie w ramię.

Wszedłem do którejś z przyległych izb. Lekarz i młodzieńcy siedzieli koło stołu i patrzyli na mnie, podano mi krzesło. Już. I teraz miałem opowiedzieć, jak i co. Jak najkrócej, *s'il vous plaît*.

<sup>36</sup> *skwapliwie* (daw.) – chętnie. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *chapeau à huit reflets* (fr.) – rodzaj błyszczącego cylindra. [przypis edytorski]

Bo wiele czasu ci panowie nie mają. Było mi dziwnie na duszy. Młodzieńcy siedzieli i spoglądali na mnie z tą godną, fachową ciekawością, której się nauczyli. Lekarz, którego znałem, głąskał bródkę i uśmiechał się roztargniony.

Myślałem, że wybuchnę płaczem, lecz usłyszałem siebie mówiącego po francusku:

– Miałem już przyjemność udzielenia panu, panie doktorze, wszelkich informacji, jakich udzielić mogę. Skoro pan uważa za potrzebne wtajemniczenie tych panów, to po naszej rozmowie z pewnością potrafi pan to uczynić własnymi słowami, mnie to jest bardzo trudno.

Lekarz powstał z uprzejmym uśmiechem, podszedł z asystentami ku oknu i powiedział kilka słów, które podkreślił poziomym, kołyszącym ruchem ręki. Po trzech minutach jeden z młodzieńców, dystrakt i krótkowidz, wrócił do stołu i rzekł starając się patrzeć na mnie surowo:

– Pan, proszę pana, dobrze sypia?

– Nie, źle.

Po czym odskoczył z powrotem do grupy. Tam naradzano się jeszcze przez chwilę, a potem lekarz zwrócił się do mnie i oznajmił, że mnie każą zawołać. Przypomniałem, że zamówiono mnie na pierwszą. Uśmiechnął się i białymi rączkami wykonał kilka szybkich, skocznych gestów, które miały znaczyć, że jest niesłuchanie zajęty.

Wróciłem zatem na swój korytarz, gdzie powietrze zrobiło się znacznie duszniejsze, i znów zacząłem chodzić tam i sam, choć byłem znużony śmiertelnie. Wreszcie wilgotny, gęsty smród zakręcił mi w głowie. Stałem przy drzwiach wejściowych i uchylałem ich nieco. Ujrzałem, że na dworze jest jeszcze dzień i szczypta słońca – i było mi z tym nieskończenie dobrze. Ale nie postąłem tak ani minuty, a już posłyszałem, że ktoś mnie woła. Kobiecisko jakieś, o dwa kroki siedzące przy stoliku, syknęło coś ku mnie. Kto mi kazał drzwi otwierać, pytała. Odparłem, że nie mogę znieść tego powietrza. A ona, że dobrze, że to moja rzecz, ale że drzwi muszą być zamknięte. Czy nie można by otworzyć okna? Nie, jest zakaz.

Postanowiłem zacząć chodzić znowu tam i z powrotem, bo to jednak było ostatecznie pewnym odurzeniem, a nie gorszyło nikogo. Ale kobiecie przy stoliku teraz i to się nie podobało. Spytała, czy nie mam żadnego krzesła. Nie, nie mam. Chodzić tu nie wolno; powinienem znaleźć sobie miejsce. Znajdzie się.

Miała rację kobieta. Znalazło się istotnie natychmiast miejsce obok dziewczyny z wysadzonymi na wierzch oczami. Siedziałem więc z uczuciem, że stan taki z pewnością musi przygotować mnie na coś straszliwego. Na lewo była zatem dziewczyna z gnijącymi dżiastami; co było na prawo ode mnie, to zdołałem poznać dopiero po chwili. Nieruchoma, olbrzymia masa, która miała twarz i wielką, ciężką bez ruchu rękę. Strona twarzy, którą widziałem, była pusta, bez żadnych rysów i bez wspomnień – a niesamowity był ubiór, jak szata trupa ubranego do trumny. Wąska, czarna przepaska na szyi w równie luźny, nieosobisty sposób była przypięta do kołnierza, a po ubraniu widać było, że je ktoś inny naciągnął na to bezwolne ciało. Rękę położono na spodniach, tam gdzie leżała, a nawet włosy uczesane były jak przez umywaczki trupów i sztywno ułożone, jak włos wypchanych zwierząt.

Obserwowałem to wszystko z uwagą i przyszło mi na myśl, że to więc było miejsce z dawna mi przeznaczone, czułem bowiem, że teraz wreszcie dotarłem do punktu mego życia, na którym pozostanę. Tak, przeznaczenie dziwnymi chadza drogami.

Nagle tuż obok podniosły się szybkie, przerażone, obronne krzyki dziecka, a po nich cichy, zduszony płacz. W czasie kiedy wyteżałem się, aby wywnioskować, gdzie to było, przedrzał znowu nikły, stłumiony okrzyk – i usłyszałem głosy, które pytały, i stłumiony głos, rozkazujący – a potem rozturkotała się jakaś obojętna maszyna i nie dbała o nic. Teraz przypomniałem sobie ona półścianę i zrozumiałem, że to wszystko dochodziło z tamtej strony drzwi i że tam szła robota w najlepsze. Istotnie, od czasu do czasu posługacz w brudnym fartuchu zjawiał się i kiwał. Już nawet nie myślałem o tym, że to mnie mogło dotyczyć. Czy to ja? Nie. Dwóch mężczyzn stało tam z krzesłem na kółkach.

Posadzili w nim nieruchomą masę i ujrzałem oto, że to był stary, chromy<sup>38</sup> człowiek, który miał jeszcze drugą, mniejszą, życiem zużytą stronę – z otwartym, mętym, smutnym okiem. Wieźli go i obok mnie zrobiło się dużo miejsca.

I siedziałem myśląc, co też oni uczynią tej tępej dziewczynie i czy ona także będzie wrzeszczeć. Te maszyny w tyle warczały tak miło, fabrycznie, nic w tym nie było niepokojącego.

Lecz nagle wszystko się uciszyło – i w tę ciszę rzeki przemożny, zadowolony z siebie głos, który pono znałem:

– *Riez!*

Pauza.

– *Riez!... Mais riez, riez!*<sup>39</sup>

Ja już się śmiałem.

Nie mogłem pojąć, dlaczego ten człowiek tam się nie śmieje. Maszyna jakaś zaczęła turkotać, ale zaraz znów zamilkła, zamieniano słowa, potem podniósł się znowu ten sam energiczny głos i rozkazał:

– *Dites nous le mot: avant.*<sup>40</sup>

Sylabizując:

– A-v-a-n-t.

Cisza.

– *On n'entend rien. Encore une fois!*<sup>41</sup>...

I oto, kiedy tam bełkotało tak ciepło i tak soczyście jak gąbka – w tej chwili po raz pierwszy od wielu, wielu lat zjawiało się! To, co mnie rozsadzało pierwszym, głębokim przerażeniem, gdy jako dziecko leżałem w gorączce: to *Wielkie*. Tak, tak zawsze mawiałem, kiedy wszyscy stali wkoło mego łóżka i macali mi puls, i pytali, co mnie przestraszyło:

– To *Wielkie*.

A kiedy lekarza wzywali i on był, i przemawiał do mnie, wtędy go prosił, aby się tylko postarał, by to *Wielkie* sobie poszło, bo wszystko inne to nic. Ale on był taki jak inni. On go zabrać nie mógł, choć przecież wówczas byłem mały i tak łatwo było mi pomóc.

I teraz przyszło znowu. Później po prostu nie zjawiało się, nie powracało nawet w nocach gorączki, ale teraz było tu, chociaż gorączki nie miałem. Teraz było. Teraz wyrastało ze mnie jak spęczniały wrzód, jak druga głowa – i było częścią mnie samego, aczkolwiek nie mogło przecie wcale należeć do mnie, bo było tak wielkie. Było jak wielkie martwe zwierzę, co niegdyś, gdy żyło jeszcze, było moją ręką albo moim ramieniem. I krew moja szła przeze mnie i przez nie, jak przez to samo ciało. A serce moje musiało się wysilać, by wpędzać krew w to *Wielkie*; prawie nie było dosyć krwi. A krew niechętnie wkraczała w to *Wielkie* i wracała chora i zepsuta. Ale *Wielkie* pęczniało i wyrastało mi przed twarz jak ciepły, siny bąbel i wyrastało mi przed usta – i nad ostatnim moim okiem już był cień jego krawędzi.

Nie mogę sobie przypomnieć, jak wydostałem się przez tę moc dziedziców. Był wieczór i zbłądziłem w nieznanych stronach, i szedłem wzdłuż bulwarów o nieskończonych murach w jednym kierunku, a gdy potem nie chciały się kończyć, wracałem w przeciwną stronę aż do jakiegokolwiek placu. Stamtąd począłem iść jakąś ulicą i wyłaniały się inne ulice, których nie widziałem na oczy, i jeszcze inne. Tramwaje przejasne z twardym, stukającym dzwonieniem gnały czasem z pędem na mnie i poza mnie. Lecz na ich tablicach były nazwy, których nie znałem. Nie wiedziałem, w jakim jestem mieście i czy tu gdzie mam jakie mieszkanie, i co mam zrobić, żebym już nie musiał chodzić.

---

<sup>38</sup> *chromy* – kulawy, kaleki. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Riez!... Mais riez, riez!* (fr.) – ależ niech pan się śmieje. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Dites nous le mot: avant* (fr.) – proszę powiedzieć nam słowo: naprzód. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *On n'entend rien. Encore une fois* (fr.) – nic nie słyhać. Jeszcze raz. [przypis edytorski]

A teraz na domiar jeszcze ta choroba, która zawsze tak dziwnie działała na mnie. Jestem pewien, że się ją bagatelizuje. Zupełnie tak samo, jak się przecenia znaczenie innych chorób. Ta choroba nie ma określonych właściwości, ona przybiera właściwości osoby, którą zawładnie. Z lunatyczną pewnością wyciąga z każdego najgłębsze jego niebezpieczeństwo, które wydawało się minione – i znowu przed nim je stawia, tuż, tuż, w najbliższą godzinę. Ludzie, co kiedyś w czasach szkolnych próbowali bezradnego nałogu, którym oszukanymi powiernikami były biedne twarde dłonie chłopięce – tu się znów odnajdują albo choroba się w nich od nowa zaczyna, którą przewyciężyli w dzieciństwie; albo zagubione nawyknienie znów się zjawia, jakieś wahające odwracanie głowy, właściwe im przed laty. A z tym, co nadchodzi, cały splot obłądnych wspomnień podnosi się i uwiesza, jak mokre wodorosty na zatopionej rzeczy. Życia, o których nie byłby się człowiek dowiedział nigdy, wyłaniają się i mieszają z tym, co było naprawdę – i odpychają minione, o którym myślałeś, że je znasz: w tym, co powstaje, jest bowiem wypoczęta, nowa siła, to zaś, co było zawsze, zmęczone jest zbyt częstym wspomnianiem.

Leżę na moim łóżku, na wysokości pięciu pięter, a dzień mój, niczym nie przerywany, jest jak tarcza zegarowa bez wskazówek.

Jak rzecz od dawna zgubiona pewnego ranka nagle zjawia się na swoim miejscu, ochroniona i cała, bardziej nowa niemal niż w czasie zgubienia, zupełnie tak, jakby u kogoś była w pieczy<sup>42</sup> – tak tu i tam na mojej kołdrze leżą zguby dzieciństwa i są jak nowe. Wszystkie utracone strachy zjawiają się znowu.

Strach, że mała wełniana nitka wystająca z brzegu kołdry twarda jest, twarda i ostra jak stalowa igła. Strach, że ten guziczek u nocnej koszuli jest większy niż moja głowa, wielki i ciężki. Strach, że ta kruszyna chleba, staczająca się oto z mego łóżka, upadnie na ziemię szklana i stłuczona, że tym samym właściwie wszystko będzie stłuczone, wszystko na zawsze. Strach, że to pasmo z brzegu rozciętego listu jest czymś zakazanym, czego nikt wiedzieć nie ma, czymś nieopisanie cennym, i że w całym pokoju nie ma dlań dość bezpiecznego miejsca. Strach, że skoro usnę, połknę ten kawał węgla leżący pod piecem. Strach, że jakaś liczba w moim mózgu pocznie rosnać, aż nie starczy jej we mnie przestrzeni. Strach, że to, na czym leżę, to granit, szary granit. Strach, że mógłbym wrzasnąć i że przed moimi drzwiami zbiegliby się ludzie i wyłamali wreszcie te drzwi, strach, że mógłbym się zdradzić i powiedzieć to wszystko, czego się boję, i strach, że nie mógłbym powiedzieć nic, bo wszystko jest niewypowiedziane – i te inne strachy... te strachy...!

Prosiłem o moje dzieciństwo i ono wróciło – i czuję, że wciąż jest tak ciężkie jeszcze, jak wtedy, i że na nic się nie zdało, że się zestarzałem.

Wczoraj z gorączką było lepiej, a dzisiaj dzień jak wiosna się zaczyna, jak wiosna w obrazach. Spróbuję wyjść do Bibliothèque Nationale<sup>43</sup>, do mojego poety, którego nie czytałem tak dawno – i może później potrafię przejść wolno przez ogrody. Może jest wiatr nad wielkim stawem, który ma tak prawdziwą wodę – i przyjdą dzieci, które na nią puszcza okręciki o czerwonych żaglach, i przyglądać się będą.

Dzisiaj nie byłem na to przygotowany, wyszedłem tak odważnie, z taką prostą naturalnością. A jednak znowu coś przyszło i porwało mnie jak papier, zmiało i odrzuciło – zjawilo się coś niesłychanego.

Bulwar St. Michel był pusty i przestronny i łatwo się szło po jego lekkiej pochyłości. Okna otwierały się w górze z brzękiem szklanym, a błysk ich leciał jak biały ptak przez ulicę. Powóz o jasnoczerwonych kołach przejechał, a dalej w dole ktoś niósł coś zielonego. Konie w błyszczącej

<sup>42</sup> *piecza* – opieka a. dozór. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *Bibliothèque Nationale* (fr.) – biblioteka narodowa. [przypis edytorski]

uprząży biegły przez ciemno spryskaną, czystą jezdnię. Wiatr był poruszony, nowy, łagodny, a wszystko wznosiło się: zapachy, wołania, dzwony.

Mijałem jedną z kawiarni, w których co wieczór grywają fałszywi czerwoni cyganie. Z rozwartych okien pełzało z nieczystym sumieniem niewyspane powietrze. Kelnerzy gładko uczesani właśnie zamiatali pod drzwiami. Jeden z nich zgięty w pół ciskał garść po garści żółty piasek pod stoły. Wtem któryś z przechodzących trącił go i wskazał na dół wzdłuż ulicy. Kelner z mocno czerwoną twarzą przez chwilę patrzył z wytężeniem, po czym śmiech rozpostarł się na wygolonych policzkach, jakby rozsypany na nich. Kiwnął na resztę kelnerów, pośpiesznie obrócił kilka razy twarz z prawej strony ku lewej, aby zwołać wszystkich, a samemu nic nie uronić. I już stali wszyscy i spojierali; to patrząc w dół, to szukając, z uśmiechem lub złością, że jeszcze nie odkryli, co gdzie jest śmiesznego.

Czułem, że wzrasta we mnie odrobina lęku. Coś pchnęło mnie na drugą stronę ulicy; lecz zacząłem tylko przyśpieszać kroku i zlustrowałem mimowolnie garstkę ludzi przed sobą, nie widząc na nich nic szczególnego. Ujrzałem wszakże, że jeden z nich, chłopiec w niebieskim fartuchu i z pustym koszykiem na ramieniu, patrzył za kimś. Skoro się napatrzył, obrócił się w miejscu ku domom i do roześmianego kupczyka po drugiej stronie ulicy stuknął się w czoło ruchem powszechnie znanym. Potem łypnął czarnymi oczyma i zadowolony począł iść ku mnie kołyszącym krokiem.

Z chwilą gdy oko moje zyskało perspektywę, począłem oczekiwać jakiegokolwiek niezwyklej i uderzającej figury, ale okazało się, że przede mną nie szedł nikt poza wysokim, szczupłym mężczyzną w ciemnym płaszczu i miękkim czarnym kapeluszu na krótkich, płowych włosach. Upewniłem się, że ani w ubiorze, ani w zachowaniu tego człowieka nie ma nic zabawnego, i już chciałem poza niego spojrzeć w głąb ulicy, kiedy nagle potknął się. Ponieważ stąpałem tuż za nim, skupiłem uwagę, ale skoro doszedłem do tego miejsca, nic tam nie było, no nic! Szliśmy dalej obaj, on i ja, przestrzeń między nami nie zmniejszała się. Teraz była poprzeczna ulica i oto ów człowiek przede mną nierówno skoczył ze stopnia chodnika, podobnie jak nieraz dzieci idąc podskakują z radości. Na przeciwległy chodnik wszedł po prostu, jednym długim krokiem. Ale już zaraz podciągnął jedną nogę i podskoczył na drugiej raz i znowu raz, i jeszcze raz. Teraz można było znów ten nagły ruch poczytywać za potknięcie, gdyby sobie człowiek wmówił, że jakaś drobnostka tam leżała, pestka, śliska łupina owocu, cośkolwiek. A co najdziwniejsze, człowiek ów sam zdawał się wierzyć w istnienie jakiejś przeszkody, gdyż za każdym razem odwracał się ze wzrokiem podrażnionym i pełnym wyrzutu, właściwym człowiekowi w podobnych sytuacjach. Raz jeszcze jakiś ostrzegawczy głos wołał mnie na drugą stronę ulicy, lecz nie posłuchałem krocząc dalej za tym człowiekiem i całą uwagę skupiając na jego nogach.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.